

Dr Zygmunt Klukowski: wspomnienia z lat 1918--1939

[Moje uwagi RK]

Dr Zygmunt Klukowski podczas okupacji niemieckiej napisał, liczący kilkaset stron maszynopisu, pamiętnik z lat 1918--1939. Pamiętnik ten, pod sygnaturą 812, znajduje się w zbiorach rękopisów Biblioteki KUL.

Wybrane z niego przez redaktor Barbarę Odnous wyjątki, zostały zamieszczone w numerze 42/2004 kwartalnika historycznego Fundacji Ośrodka „Karta” w Warszawie. Dalsze wyjątki tych wspomnień, wybrane przez redaktor Agnieszkę Knyt, znalazły się w wydanej, też przez „Kartę”, dwu tomowej „Zamojszczyźnie 1918--1956”. W zasadzie z tych dwóch źródeł dokonałem kompilacji poniższego tekstu. Niektóre słowa i interpunkcja wg zasad obowiązujących przed wojną.

Romuald Kołodziejczyk

*** * ***

7 października 1918 przyjechałem z Rosji do Warszawy, goły jak turecki święty. Parę walizek z resztkami rzeczy i trochę książek stanowiło cały mój majątek. Od razu musiałem szukać jakiegoś zarobku. Poszedłem to tu, to tam, udałem się do Ministerstwa Zdrowia, lecz wszędzie odprawiono mnie z kwitkiem. Przypadkowo spotkałem kolegę z krakowskiego uniwersytetu, doktora Stefana Madlera, który w tym czasie był zastępcą lekarza powiatowego w Zamościu. Dowiedziawszy się o mojej dość smętnej sytuacji, zaproponował, żebym jechał do Zamościa, a on postara się urządzić mnie gdzieś w powiecie.

Tym sposobem wieczorem 3 listopada 1918 znalazłem się w Krasnobrodzie, małej mieścinie w powiecie zamojskim. Jednostajne i szare było życie w Krasnobrodzie. Mała zażydzona osada, otoczona lasami, odległa od kolei 12 kilometrów, a od Zamościa około 20, żyła swoim małostkowym, codziennym materialnym życiem. Naokoło nie było ani kawałka szosy, drogi piaszczyste lub błotniste utrudniały komunikację. [...] Towarzystwo miejscowe było nudne i nieciekawe. [...]

Chciałem więc- z jednej strony- wyrwać się z Krasnobrodu i znaleźć dla siebie bardziej odpowiednią pracę w jakimś szpitalu, z drugiej zaś tak się rozmyślałem w moich studiach nie lekarskich, że szkoda było je przerywać, a bałem się, że gdzie indziej nie będę miał tyle czasu, co tutaj.

I tak schodził mi dzień za dniem, miesiąc za miesiącem, aż kiedyś w październiku przyjechał do mnie lekarz powiatowy, dr Mędrkiewicz, i zaproponował objęcie szpitala w Szczebrzeszynie, małym miasteczku, też w powiecie zamojskim. Przed paroma dniami umarł tam na tyfus plamisty lekarz i szpital pozostał bez kierownika. [...] 20 października 1919 wieczorem przyjechałem do Szczebrzeszyna. Nie przypuszczałem wówczas, że tyle lat wypadnie mi tu przeżyć.



Ze zbiorów Ewy Klukowskiej

Szczebrzeszyn kościół pw. Św. Katarzyny i szpital

Szpital pod wezwaniem św. Katarzyny istniał tu od roku 1812. W ciągu przeszło 100 lat niejednokrotnie zmieniali się jego gospodarze, obecnie rozporządzał nim Sejmik Zamojski. W chwili wybuchu wojny światowej ordynatorem szpitala był dr Bolesław Bogucki, który w roku 1915 przeniósł się do Zamościa na takie same stanowisko w szpitalu św. Mikołaja. Po nim kolejno pracowali tu dr Mieczysław Czarnecki, później lekarz w Łomży i poseł na sejm, dr Gwaraszwili, który po sześciu tygodniach zmarł na tyfus plamisty, dr Agatsztejn i wreszcie Jan Stefanowicz, mój kolega z Uniwersytetu w Krakowie. Po rocznym tu pobycie i ciężkiej pracy zachorował na tyfus plamisty i zmarł 16 października. Po nim to obejmowałem szpital. [...] Mieścił się w starym zapuszczonym budynku po klasztorze franciszkanek [...] Kilka lat pracy w nienormalnych warunkach dały się tu mocno we znaki. W chwili mojego przybycia miał się już ku końcowi poważniejszy remont szpitala, lecz pomimo tego, braki wszędzie jeszcze były ogromne.

Chorych zastałem około pięćdziesięciu. Stałą opiekę nad nimi sprawowała jedna pielęgniarka, siostra Zofia Klimczuk, mająca do pomocy tylko trochę więcej od innych wyszkoloną posługaczkę. Pielęgniarka Klimczuk była siostrą zakonną prawosławnego zakonu żeńskiego w Radecknicy. W ciągu wielu lat wykonywania przeze mnie zawodu lekarskiego, nigdy nie spotkałem

pielęgniarki tak całą duszą oddanej swej pracy i tak pełnej poświęcenia. Miałem możliwość dobrze to ocenić w czasie 11 lat wspólnej pracy.

[...]

Zamieszkawszy w szpitalu, szybko zorientowałem się, że organizacja pracy i cała administracja pozostawiała wiele do życzenia. [...] Nikt nie przestrzegał godzin, kiedy można było odwiedzać chorych, wciąż kręcili się tu obcy ludzie; w kuchni to samo; brama stale otwarta, wszyscy sąsiedzi przychodzili do studni po wodę; z sadu szpitalnego Żydzi zrobili coś w rodzaju parku miejskiego [...]. Zacząłem, więc od uporządkowania dziedziny gospodarczej, zaprowadzając, jaki taki ład, lecz przez to naraziłem się jak najbliższym sąsiadom, tak i innym obywatelom miasta, którzy nie mogli już po dawnemu korzystać z urządzeń szpitala.[...]

W szpitalu miałem pracy bardzo dużo, tym więcej, że z nastaniem miesięcy zimowych znów zaczęła gwałtownie się szerzyć epidemia tyfusu plamistego. W końcu zachorowała i moja żona, chorobę przeżyła szczęśliwie i już oboje byliśmy uodpornieni na tę tak niebezpieczną dla lekarzy chorobę.

Tak upłynęło kilka pierwszych miesięcy pobytu mojego w Szczepieszynie. [...] W tych miesiącach epidemia tyfusu plamistego w całej Polsce przybrała zastraszające rozmiary. Naczelnym Nadzwyczajnym Komisariatem do spraw walki z epidemią w skrócie nazywany NNK, na którego czele stał bardzo energiczny prof. Emil Godlewski w randze pułkownika- lekarza, organizował całą sieć nowych szpitali epidemiologicznych, kolumn ruchomych, kolumn dezynfekcyjnych itp.

Odczuwało się brak lekarzy, ogromna ich ilość zmarła na tyfus. Specjalnie pożądana była lekarze, którzy szczęśliwie przeżyli jego chorobę. Wobec tego w kwietniu pojechaliśmy oboje z żoną do Warszawy i zgłosiliśmy się do prof. Godlewskiego, mojego profesora z Krakowa i oddaliśmy się do jego dyspozycji, Sądziłem, że profesor pošle mnie do jakiegoś istniejącego już szpitala, lecz stało się inaczej.

Nasilenie epidemii na Zamojszczyźnie było bardzo duże a NNK posiadał tylko jeden szpital epidemiologiczny w Zamościu i drugi w Biłgoraju. Projektowano, więc założenie na naszym terenie jeszcze paru szpitali. Profesor rozejrzawszy się po odpowiednim materiale, po krótkiej naradzie ze swoimi bezpośrednimi pomocnikami, kierownikami poszczególnych działów oświadczył, że w najbliższym czasie mam przystąpić do zorganizowania szpitala NNK w Szczepieszynie.

Szpital został otwarty i zaczął przyjmować chorych dnia 22 lipca. Tym sposobem stałem się równocześnie kierownikiem dwóch szpitali. Przybyło mi oczywiście roboty, co niemiara, ale byłem z tego bardzo zadowolony. Na razie pomagała mi w pracy żona. Jak już wspominałem szpital epidemiologiczny był również w Biłgoraju. Kierowniczką była tam dr Felicja Żółtowska-Warchałowska. W kwietniu zachorowała na tyfus plamisty i w maju NNK polecił żonie mojej udać się na zastępstwo do Biłgoraja [...] Pozostałem w dwóch szpitalach sam jeden.



Dr Zygmunt Klukowski z żoną Heleną i synem Jerzym

W krótki czasie poznałem miejscowe towarzystwo i panujące stosunki. Pierwszą osobą – jak zwykle bywa w małych miasteczkach- był proboszcz ks. Kanonik Andrzej Wadowski[...]. Ja stałem trochę na uboczu miejscowego towarzystwa. Stale raziło mnie ogólne tło i charakter życia w małym miasteczku. Nie mogłem i nie chciałem przystosować się do przyjętych zwyczajów, nie dawałem się wciągnąć do jałowego życia towarzyskiego. Co prawda, po przeniesieniu Seminarium Nauczycielskiego przybyło trochę elementu ciekawego, lecz wśród inteligencji od dawna tu zamieszkałej życie umysłowe było bardzo mizerne. Nie można było wyczuć żadnych poważniejszych zainteresowań intelektualnych. Tylko w okresie wyborów odbywały się, jakie takie namiętności partyjne. Cała inteligencja szczepreska była zwolenniczką endecji. Ja uchodziłem za odszczepieńca, ponieważ gdy mnie zapytano, otwarcie mówiłem, że będę głosował na listę PPS [...]. Z tego powodu jeden z panów przestał mi się kłaniać na ulicy.

Zastanawiałem się nad tym, dlaczego najczęściej tak bywa, że każdy prawie, kto osiadł na prowincji, nawet jeśli ma większe potrzeby intelektualne i aspiracje naukowe, ulega w końcu i wsiąka w tę okropną, wyjąławiającą atmosferę życia małomiasteczkowego. Taki, niestety, bywał los większości lekarzy prowincjonalnych. Bronilem się jak mogłem przeciwko zaaklimatyzowaniu się towarzyskim w Szczepreszynie. Przeciwko temu buntowałem się całą duszą. Postanowiłem nie poddać się. Przeciwnie chciałem stworzyć dookoła siebie i u siebie w domu całkiem inną atmosferę duchową, do której mieliby przystosować się ci z którymi bliżej żyłem. Pragnąłem sam sobie stworzyć odpowiednie warunki do pracy, zorganizować warsztat

naukowy i tak ułożyć swoje życie, żeby mi dawało ono najwięcej zadowolenia. I dziś mogę powiedzieć, że w znacznym stopniu mi się to udało.

[...]

[Rok 1920] Żywo interesowałem się tym, co się działo w kraju. Bo też były to czasy naprawdę osobliwe. Ze wszystkich stron czaił się wróg i całe społeczeństwo musiało wyęźać wszystkie siły, aby nie wpaść w nową niewolę. Dla swej obrony musiało nowo powstałe państwo zmobilizować wszystko i wszystkich. [...]Wobec coraz groźniejszych wieści, młodzież starsza licznie zaczęła się zgłaszać na ochotnika do szeregów wojskowych. W tym czasie mjr Jaworski zorganizował w Zamościu II Szwadron swojej „Jazdy Ochotniczej”. Ze Szczebrzeszyna zgłosiło się sporo ochotników, a więc:

Jóźwiakowski Stefan uczeń VI klasy gimnazjum, późniejszy lekarz

Czernicki Karol uczeń gimnazjum, przez dwa dni był w niewoli u bolszewików, skąd uciekł

Czernicki Romuald! uczeń progimnazjum, brat Karola, umarł na czerwonkę w Zamościu w czasie formowania szwadronu

Kapeć Henryk! uczeń gimnazjum w Zamościu

Kołodziejczyk Roman uczeń szkoły powszechnej w Szczebrzeszynie

Kołątaj Marian praktykant sklepowy

Strojnowski Jan nauczyciel szkoły powszechnej w Szczebrzeszynie, ranny pod Kąkolewnicą k. Międzyrzecza, dostał się w ręce bolszewików, przepadł bez wieści

Piotrowski Teodor drogomistrz w Szczebrzeszynie

Ornat..... „ober” we młynie w Szczebrzeszynie

Zakrzewski Czesław dzierżawca „popówki” w Rozłopach, późniejszy burmistrz w Szczebrzeszynie

Sawulski Wiktor zginął na froncie jako żołnierz we wrześniu 1939 r.

Pulikowski Edward! gospodarz Cukrowni „Klemensów”

Szubert Aleksander! nauczyciel szkoła powszechnej

Ferenc Paweł! nauczyciel szkoły powszechnej w Czarnym Stoku, późniejszy

nauczyciel Seminarium w Szczebrzeszynie [...]

Komisja poborowa pracowała w Zamościu bez przerwy.

A sytuacja stawała się coraz groźniejsza. Dochodziły nas hiobowe wieści o cofaniu się armii polskiej na całym froncie i o szybkim posuwaniu się naprzód bolszewików. [...] W Szczebrzeszynie zaczęły się pokazywać pierwsze wozy z uciekinierami ze wschodu, wyłącznie ze sfer zamożniejszych i urzędniczych. Liczne tabory wojskowe przeciągały przez Szczebrzeszyn udając się na zachód, koleje ograniczyły przewóz osób cywilnych, poczta funkcjonowała coraz gorzej, gazety stawały się rzadkością, a radia w tym czasie nie było [...].

Zbliżały się krytyczne dla nas dni. Przez miasteczko ciągnęły coraz liczniejsze tabory uciekinierów.[...] Jechały powozy i bryczki, a najczęściej duże wozy drabiniaste zaprzężone w dobre konie dworskie, naładowane różnymi rzeczami, skrzyniami, walizami, pościelą. Nie wszystkimi pojazdami powozili furmani lub fornale. Na bardzo wielu wozach siedzieli z lejcami iw rękach dostatnio ubrani panowie, a nawet panie i panienki. Niemało wozów jechało z księżmi, też bez furmanów, czasami obok siedziała gospodyni. Widok uciekających ziemian, a zwłaszcza księży, wyprowadzał z równowagi mojego intendenta, eks dziedzica Rzuchowskiego. Stawał w otwartym oknie i przy

przejeżdżających księżach zawsze zaczynał śpiewać na cały głos, niemiłosiernie fałszując: „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród”. Jadący podnosili głowy w stronę okna i zacinali batem konie.[...]

Przygnębiające wrażenie robiły odchodzące wojska najpierw tabory, potem oddziały liniowe. Wreszcie i to się skończyło. W Szczebrzeszynie pozostała tylko jedna kompania saperów z dwoma podporucznikami, z których jeden nazywał się Matkowski. W ogrodzie szpitalnym, jakieś dziesięć metrów od budynku głównego, wykopano rowy strzeleckie dla centralnego ostrzeliwania szosy i mostu na rzece Wieprz. Takież okopy porobione tuż za miastem w kilku innych miejscach. Na szosach w pobliżu okopów ustawiono ruchome zasieki z drutów kolczastych.

Nastrój stawał się coraz bardziej trwożny, wzmagало się napięcie nerwów, wzrastał niepokój. Wszelkimi sposobami starałem się podtrzymać ducha wśród mojego personelu pomocniczego. Wieczorami, gdy już ustawała wszelka robota i krzątanina w szpitalu, zabierałem obie pielęgniarki do swojego mieszkania i tu....czytałem im Słowackiego.[...] 28 sierpnia bolszewicy podeszli pod Zamość i przecięli szosę na Szczebrzeszyn. Byliśmy już odcięci od Zamościa, lecz jeszcze przez parę godzin porozumiewaliśmy się z nim telefonicznie, dopóki nie przerwano drutów. 29 i 30 sierpnia bolszewicy podchodzili pod sam Szczebrzeszyn. Byli w pałacu w Klemensowie, byli i w cukrowni, gdzie w pewnym domu dwaj żołnierze bolszewicy zgwałcili jedną panią na oczach męża (ze zrozumiałych względów nazwiska jej nie wymieniam).Podchodzili do okopów tuż pod naszym miastem [...]. W dzień, stojąc na wzniesieniu w ogrodzie szpitalnym niedaleko kostnicy, widzieliśmy na własne oczy kilku bolszewików zjeżdżających z Brodzkiej Góry. Były to jednak tylko małe podjazdy konnicy Budionnego. Oczekiwaliśmy lada chwila ich wejścia do miasta.

Dowiedziawszy się o gwałcie dokonanym w cukrowni, zwołałem do kancelarii cały mój personel i przedstawiłem otwarcie sytuację [...]. Oświadczyłem, że kto chce, może jeszcze uciekać, nikogo nie będę zatrzymywać, a siostram dam nawet muły z wozem. Było mi przyjemnie, gdy nie zauważyłem u nikogo najmniejszego nawet wahania. Bez namysłu wszyscy zgodnie odpowiedzieli, że zostają ze mną. Podziękowałem i rozeszliśmy się do roboty.[...]

Nadszedł wieczór, po kolacji wszyscy porzłazili się do swoich pokoi. W całym szpitalu zapanował zupełnie niezwykły nastrój niepewności i oczekiwania.[...] Dyżur pełniła tego dnia Maria Neussówna. Widziałem, że jest zdenerwowana bardziej od innych. Zdawała sobie sprawę z tego, że jej, jako dyżurnej, może pierwszej wypadnie zetknąć się z bolszewikami, jeżeli ci w nocy zjawią się w szpitalu. Uspokoilem ją trochę, zapewniając, że nie będę się kład spać i że usłyszawszy jakiś ruch na ulicy przed szpitalem zaraz zejść na dół i sam spotkam niepożądanych gości.. Być może mniej od innych miałem obaw, przecież przetrzymałem jakoś rewolucję bolszewicką w Rosji i pracując w tym czasie w szpitalu wojskowym w Symferopolu na Krymie dużo miałem z nimi do czynienia.[...]

31 sierpnia jakoś o bolszewikach cicho. Nie widać ich w pobliżu nigdzie.[...] saperzy mieli już pewną wiadomość, że oddziały Budionnego zaczęły się cofać. Ogarnęła nas szalona radość. Zaprosiłem do siebie oficerów na wieczór. Żołnierzom kazałem wydać z zapasów szpitalnych kilka litrów spirytusu. Całe miasto wyległo na ulicę. Omawiano wypadki ostatnich dni.

Okazało się, że podjazd bolszewicki był już koło samego Szczebrzeszyna, już podchodził do okopów między cukrownią a miastem, i stąd się cofnął.

Wieczorem oficerowie mówili mi, że Zamość też jest wolny. Wobec tego umówiliśmy się z ppor. Matkowskim, że na drugi dzień pojedziemy tam razem.[...] Im bliżej Zamościa, tym więcej było widać śladów pobytu bolszewików. Koło folwarku Płoskie wszystkie pola stratowane były kopytami końskimi. [...] Bez przeszkód dojechaliśmy do Zamościa.[...] Trafiłem właśnie na moment, kiedy przez rynek przeciągał niezwykle kondukt pogrzebowy. Czternaście trumien ze zwłokami poległych żołnierzy w obronie Zamościa niesiono na barkach przez środek rynku ku kolegiacie. Za trumnami szły wielkie tłumy ludzi. Rzucił się w oczy zupełny brak księży. Okazało się, że w całym Zamościu nie było ani jednego księdza, czy to cywila, czy kapelana wojskowego. Wszyscy zwiali przed bolszewikami, bez skrupułów porzucając swoich wiernych parafian. Rozgoryczenie wśród ludności było ogromne.

Straszna była dezorganizacja życia społecznego i gospodarczego. Po odparciu bolszewików [...] ludzie rzucili się do roboty.[...] Wszystko trzeba było organizować niemal od początku i wszystko to się robiło. Prędko ruszyły szkoły, w grudniu 1920 uroczyste witano w Zamościu uczniów i nauczycieli zwolnionych z wojska, całe życie weszło na zwykłe tory. Lecz ludzie przyzwyczajeni do szybkiego tempa życia nie mogli się pogodzić z monotonią systematycznej, szarej, codziennej pracy i szukali ujścia dla swój energii. Rzucono się do budowania, handlu, do przemysłu, zakładano rozmaite spółki, stowarzyszenia, organizacje, urządzano kursy, odczyty, zjazdy, w cichym i nudnym Szczebrzeszynie nastąpiło wielkie ożywienie.

Ja wszystkie wolne chwile poświęcałem w dalszym ciągu studiom humanistycznym.

Po ostatecznym zlikwidowaniu Domu Ozdrowieńców, Ministerstwo spraw Wojskowych przekazało dawne budynki szkolne Ministerstwu Oświaty. Zaczęły zjeżdżać różne komisje [...] i wreszcie dowiedzieliśmy się, że zostanie tu przeniesione z Zamościa Państwowe Seminarium Nauczycielskie Męskie. Istnienie w Szczebrzeszynie średniego zakładu naukowego miało da miasta kolosalne znaczenie, było zapowiedzią dalszego rozwoju. [...] Niektóre sklepy, zwłaszcza żydowskie, zaopatrzyły się w większą ilość towarów, krawcy i czapnicy czynili przygotowania do wzmożonej pracy, w wielu domach mieszczańskich urządzano stancje dla uczniów. Odremontowano gmachy, zwieziono inwentarz szkolny, zjechała dykcja, zaczęli ściągać powoli nauczyciele i wychowawcy, a w końcu uczniowie.

Wreszcie szkołę uruchomiono. Dyrektorem został Tadeusz Niedzielski. Mnie zaangażowano na lekarza szkolnego. [...] Uczniowie rekrutowali się przeważnie spośród chłopów, częściowo ze sfer mieszczańskich i urzędniczych.

[W Szczebrzeszynie z braku szkół, powszechnym analfabetyzmie i zacofaniu, średniowiecze, jak ktoś powiedział, trwało do połowy dwudziestego wieku. Dr Klukowski pisząc niniejszy pamiętnik w roku 1943, zapewne nieświadomie, ale zgodnie z ówczesnymi pojęciami szczebrzeskimi, używał średniowiecznej nomenklatury klasowej. Pamiętam, że jeszcze w roku 1944 niektóre moje koleżanki z gimnazjum zamiast nazwy chłop używały jeszcze nazwy cham, w sensie nie obraźliwym, ale właśnie klasowym. RK]

Przybywał więc element surowy, który trzeba było wychować i nauczyć w ciągu zaledwie pięciu lat. Czasem trudno było poznać absolwentów.

Przychodził do szkoły na pierwszy kurs materiał całkiem nieokrzesany, nieobyty i brudny. Stopniowo następowało przeobrażenie, głównie zewnętrzne. Z każdym kursem uczniowie powierzchownie się cywilizowali, nabierali pewnej oglądy. Gdy kończyli szkołę i dostawali posadę, przede wszystkim musieli się ubrać. Sprawiali sobie eleganckie ubrania, krawat, kapelusz--nigdy czapkę!! Bo to zewnętrznie wyprowadzało ich ze świata, z którego pochodzili i przenosiło do sfery „panów”. Warunki zewnętrzne były niezbyt sprzyjające wychowaniu młodzieży, bo takie małe miasteczko, jak Szczepieszyn, nie mogło dostarczyć chłopcom niezbędnej atmosfery kultury. Cała praca wychowawcza musiała więc skupić się w samej szkole. Oczywiście, wyniki tej pracy były też zależne od grona nauczycielskiego. A sprawa doboru odpowiednich nauczycieli wcale się tu dobrze przedstawiała. Szczepieszyn był uważany nie bez słuszności za straszną dziurę, nikt chętnie tu nie jechał. Kuratorium warszawskie [...] lepszych nauczycieli przeznaczało do szkół w większych środowiskach. Do Szczepieszyna często przysyłano „wybrakowanych”, niemających pełnych kwalifikacji lub bardzo młodych, dopiero rozpoczynających pracę zawodową. Każda zdolniejsza jednostka i mająca większe aspiracje starała się jak najprędzej o przeniesienie gdzie indziej.

Życiem szkolnym zawsze bardzo żywo się interesowałem, między innymi zajęła mnie sprawa alkoholizmu wśród uczniów. Przeprowadziłem ankietę. [...] Wynik był taki jakiego się spodziewałem. Picie wódki było stosunkowo rozpowszechnione. Znalazło się nawet kilkoro dzieci, które same opowiedziały swoim wychowawcom, że rodzice dają im codziennie po kieliszku wódki „dla apetytu”. Innym razem przeprowadziłem ankietę w sprawie palenia tytoniu. Wynik ogłosiłem[...] wysuwając wniosek, żeby władze szkolne zerwały nareszcie z nierealnym zakazem palenia, zezwalając na nie w specjalnie do tego przeznaczonym pokoju. Moim zdaniem, liczba palących uczniów znacznie by się zmniejszyła, gdyby zabrakło smaku owocu zakazanego. [...]

Wszyscy nauczyciele brali czynny udział w życiu szkoły/. Często odbywały się w sali aktowej seminarium odczyty, pogadanki, obchody, koncerty, przedstawienia amatorskie, które przyciągały tłumy publiczności. Niektóre przedstawienia trzeba było powtarzać po parę razy. Szkoła promieniowała na całą okolicę, wnosząc do zatęchłej atmosfery miasteczka, świeży, ożywczy prąd. [...] Trzy lata później Seminarium zdobyło się na pierwszy w Szczepieszynie aparat radiowy. Był ogromny, obsługa dość skomplikowana, słuchało się tylko na słuchawki, ale była to dla wszystkich sensacja. Pierwszy raz wówczas usłyszałem audycję radiową.

Stale raziło mnie ogólne tło i charakter życia w małym miasteczku. Nie mogłem i nie chciałem przystosować się do przyjętych zwyczajów, nie dawałem się wciągnąć do jałowego życia towarzyskiego. Co prawda, po przeniesieniu Seminarium Nauczycielskiego przybyło trochę elementu ciekawego, lecz wśród inteligencji od dawna tu zamieszkałej życie umysłowe było bardzo mizerne. Nie można było wyczuć żadnych poważniejszych zainteresowań intelektualnych. Tylko w okresie wyborów odbywały się, jakie takie namiętności partyjne. Cała inteligencja szczepieszka była zwolenniczką endecji. Ja uchodziłem za odszczepieńca, ponieważ gdy mnie zapytano, otwarcie mówiłem, że będę głosował na listę PPS [...]. Z tego powodu jeden z panów przestał mi się kłaniać na ulicy.

Były to ostatnie miesiące piastowania przez Marszałka Piłsudskiego godności Naczelnika Państwa. W październiku udało się jeszcze władzom

wojskowym uprosić go, by zechciał przybyć do Zamościa na poświęcenie sztandaru 9 pułku piechoty Legionów. [...] 17 października z rana, w asyście świty i wojewody Stanisława Moskalewskiego, przyjechał Marszałek do Zamościa. Po nabożeństwie odprawionym przez ks. Biskupa Bandurskiego, przyjmował defiladę wojskowa, stojąc wprost na chodniku przed wejściem do gimnazjum. Otoczył go tłum cywilów i wojskowych. Znajdowałem się od Marszałka w odległości paru metrów. Nikt nie mógł od Niego oczu oderwać.

[...]

Wygląd Szczebrzeszyna był w tym czasie okropny. Przede wszystkim wszędzie błoto! Na rynku, na wszystkich ulicach. Tylko główna ulica [Zamojska], stanowiąca część szosy wiodącej z Zamościa do Biłgoraja, była wybrukowana kocimi łbami. Wąskie chodniki z klinkieru ułożone były tylko na głównej ulicy, a poza tym gdzieś tam z desek. Koło wikarówki, w poprzek szosy, przebiegał kanał z nieczystościami, wiecznie niemożliwie śmierdzący. W całym mieście były tylko trzy studnie publiczne, ani jednego publicznego ustępu, na ulicach ani jednej latarni. W nocy, gdy nie świecił księżyc, panowały nieprzebrane ciemności. Domy na zewnątrz zaniedbane, nie tynkowane, brudne. Po rynku i przyległych ulicach łążyły świnie, które zresztą były nawet pożyteczne, bo oczyszczały trochę miasto. Słowem, wszędzie smród i brud.

Na jesieni żona z synkiem wyjechała na stałe do Warszawy*, a mnie pochłonęło życie społeczne, praca zawodowa i studia humanistyczne.

[W przedmowie do „Dziennika 1944-1945” Bohdan Królikowski pisze: Jesienią tego roku opuściła go żona, wyjeżdżając na stałe do Warszawy wraz s synem. Nie pomógł urok osobisty Zygmunta Klukowskiego i jego ogromne poczucie humoru. Pamiętający tamte czasy twierdzą, że winę ponosi on sam, a raczej jego temperament i umiłowanie płci pięknej. RK]

W pierwszej połowie 1923 r. stykając się coraz częściej z wymienionymi ludźmi rozmawialiśmy m. in. dużo o książkach. [Prawdopodobnie z dyr. Gimnazjum i Liceum Męskim w Zamościu Lewickim, i rejentem Rosińskim. RK]. A to dlatego, że wżyciu każdego z nas odgrywały one tak bardzo ważną rolę. Ja byłem w nich najwięcej rozmiłowany. Zdawało mi się, że bez książek nie mógłbym istnieć. Czytałem po kilka godzin dziennie, kupowałem książki masami. Niestłuchaną przyjemność sprawiało mi nie tylko samo czytanie, lecz i posiadanie książek. Zacząłem coraz bardziej im się przyglądać i doznawać coraz więcej wrażeń w obcowaniu z książkami. Często przywoziłem do Zamościa, ciekawe egzemplarze, pokazywałem je, mówiłem o nich.

Kiedyś wpadliśmy na pomysł urządzenia w Zamościu wystawy książki polskiej, ażeby sposobem retrospektywnym przedstawić rozwój jej od początku aż do chwili obecnej. Chcieliśmy pokazać piękno książki i jej urok, wzbudzi zainteresowanie do książek, wskazać ludziom to, na co rzadko kto zwraca uwagę. Chodziło nam przy tym głównie o młodzież szkolną.

Postanowiliśmy urządzić wystawę na jesieni, na początku roku szkolnego w związku z przypadającą rocznicą Komisji Edukacji Narodowej. Napisałyśmy odpowiednią odezwę do miejscowego społeczeństwa, która wydrukowaliśmy w „Ziemi Zamojskiej” prosząc o pożyczenie nam na wystawę posiadanych ciekawych lub rzadkich książek. Nawiasem mówiąc odezwa nie dała najmniejszego efektu. [...]

Trzeba było wszystko wyszukiwać i zdobywać samemu. przez 3 letnie miesiące starannie się do wystawy przygotowywałem. [...] zapoznałem się dość dokładnie z rozwojem drukarstwa i książki w Polsce. Gromadziłem skąd tylko mogłem książki odpowiednie dla wystawy. Jeździłem do Krasnobrodu i tam ze wspaniałej biblioteki poklasztornej wypożyczyłem kilkanaście starych ksiąg drukowanych w różnych oficynach polskich. Pojechałem też do Rawy Ruskiej, gdzie mając trochę znajomych sądziłem, że uda mi się coś wydobyć z biblioteki OO. Bernardynów. Niestety zakonnicy nic mi nie wypożyczyli, lecz korzystałem ze sposobności i obejrzałem tam dużo cennych i pięknych druków.

Mecenas Rosiński jeździł do Sokala [Bernardyni],skąd przywiózł dobrą porcję starych ksiąg. Jeździliśmy z nim razem do Surhowa, majątku Skolimowskich pod Krasnystawem, gdzie, jak dowiedzieliśmy się, znajdował się piękny księgozbiór pozostały po znanym zbieraczu pieśni i podań ludowych Zorianie Dołędże Chodakowskim (Adamie Czarnockim) z I połowy XIX wieku. Dostaliśmy tam wiele cennych ksiązek, które bardzo urozmaiciły naszą wystawę.

Dalej we trójkę z Lewickim i Rosińskim pojechaliśmy do Zawalowa między Zamościem i Hrubieszowem, będącego własnością Lachmana, którego synowie uczyli się w gimnazjum zamojskim. Znaleźliśmy tu kilka bardzo rzadkich i cennych starych druków. Z trudem uzyskaliśmy zezwolenie od ks. Prałata Hartmana obejrzenia i wykorzystania biblioteki kolegiaty w Zamościu. Zastaliśmy tam księgi ustawione na półkach we względny porządku, było tu dużo starych druków, przeważnie tłoczonych za granicą. Znaleźliśmy jednak i druki polskie, bardzo ważne dla naszych celów. Gdyśmy oglądali te szacowne stare foliały z oburzeniem podziwialiśmy ślady pobytu tutaj jakiegoś barbarzyńcy, który z wielu ksiąg powycinał z kart tytułowych frontispisy.

Szukałem też ksiązek po strychach i lamusach mieszczan szczebrzeskich, gdzie natrafiłem na znikome szczątki podręczników z czasów istnienia tu Szkoły Wojewódzkiej im Zamoyskich. Łaziłem po domach w Zamościu i Zwierzyńcu i tym sposobem udało się zgromadzić dość obfity materiał na wystawę. Oczywiście najwięcej eksponatów dały nam nasze zbiory. Opierając się na dokładnych studiach wielu dzieł i na badaniu zdobywanych ksiązek przez kilka tygodni wyjątkowo skrupulatnie opracowywałem odczyt p.t. „Rozwój sztuki drukarskiej w Polsce”, który miałem wygłosić w dniu otwarcia wystawy. Przygotowywałem go tym staranniej, że miał to być mój pierwszy odczyt publiczny w Polsce. Narysowałem nawet kilka dużych tablic ściennych dla pokazania antyki, szwabachy i gotyku, będąc pewny, że mało kto w Zamościu wie co to jest np. taka szwabacha. Musiałem przy tym bardzo liczyć się z tym, aby mnie nie wyśmiano, że będąc lekarzem porywam się na odczyty niemające nic wspólnego z medycyną.

Przygotowania nasze dobiegły końca. Co parę dni jeździłem do Zamościa i byłem tak zapracowany, że nie miałem czasu nawet na normalne spanie. Wystawę urządziliśmy w Gimnazjum żeńskim w dużej ładnej sali aktowej, malowanej przez prof. Gajewskiego i w sąsiedniej klasie. Stroną dekoracyjną zajął się nieżyjący już niestety prof. Edward Kopciński.

W końcu na kilka dni przeniosłem się całkiem do Zamościa i zatrzymałem się jak zwykle u Boguckich. Zajęty byłem urządzeniem wystawy, nawet całą noc poprzedzającą jej otwarcie. Oczywiście pracowaliśmy wszyscy inicjatorzy, pomagało nam sporo i innych osób, lecz cały plan, układ i rozmieszczenie eksponatów spadły na moja głowę. Na bibulastym papierze

używany przed wojną do mycia okien wydrukowaliśmy piękny plakat wystawowy ze znakiem dawnej drukarni Akademii Zamojskiej. Wykonał nam go Ryszard Ostrowski w swej małej drukarence akcydensowej w Zamościu. Plakat ten stał się potem okazem poszukiwanym przez zbieraczy wytwornych druków polskich, a oprawiony w lamówkę aż do ostatniej wojny zdołał gabinet zamojskich bibliofilów.

W niedzielę 7 października po południu nastąpiło uroczyste otwarcie wystawy i zaraz potem w sali aktowej Gimnazjum Męskiego mój odczyt. Zgromadziła się cała zamojska inteligencja i wypełniła salę po brzegi. Niewyspany, zmęczony, szalenie podniecony przede wszystkim sama wystawą i wypitą w nadmiernych ilościach czarną kawą miałem taką tremę jak nigdy. Mówiłem pełną godzinę i czując, że słuchacze się nie nudzą, lecz słuchają uważnie, rychło pozbyłem się swej tremy i dokończyłem odczytu już zupełnie gładko. Miałem ogromne zadowolenie, bo odczułem sam, że odczyt mi się udał.

Wystawa trwała cały tydzień. Odbyły się w tym czasie i inne imprezy z racji rocznicy Komisji Edukacji Narodowej i Stanisława Konarskiego, uroczyste publiczne posiedzenie Towarzystwa Nauczycieli Szkół Wyższych w gimnazjum, Akademia na Ratuszu itd. Prawie cały tydzień spędziłem w Zamościu. Oprowadzałem po wystawie grupą młodzież szkolną i dorosłych, dawałem wyjaśnienia, mówiłem o książkach. Byłem w swoim żywiole. Przykre były chwile gdyśmy już przystąpili do likwidacji wystawy i trzeba było zwracać wypożyczone książki. Zwłaszcza z niektórymi drukami nie chciało się nam rozstawać. [...]

Przez tę wystawę i odczyt zyskałem sobie w Zamościu trwałą sławę bibliofila i znawcy książek. Ucierpiała natomiast bardzo moja opinia jako lekarza, [...] Tak się już ułożyło na prowincji, że jeżeli jakiś lekarz kilka godzin dziennie traci na grę w karty, a przy tym nie gardzi i alkoholem, to nic mu nie szkodzi jako lekarzowi, gdy zaś inny ten sam czas zużywa na jakąś pracę naukową lub studia specjalne, lecz nie lekarskie, to się mówi, że medycyna go nie obchodzi

Po wystawie grono bibliofilskie w Zamościu znacznie się rozszerzyło. [...] Nadzwyczaj cennym dla nas przybyszem stał się Bolesław Leśmian, przeniesiony z Hrubieszowa na stałe do Zamościa na stanowisko rejenta. Jakże ciekawa była to postać. Bardzo małego wzrostu, szczupłutki, drobnutki, o rysach twarzy wybitnie semickich, rudawy, szpakowaty, łysiejący, z nieproporcjonalnie wielkimi stopami, zdawał się karykaturą człowieka. Z wyglądu nie można było domyślić się w nim wielkiego poety. [...] Każde spotkanie z nim przynosiło coś nowego, jego zainteresowania były bardzo rozległe i wszechstronne. Zajmowały go zagadnienia przyrodnicze, przede wszystkim życie seksualne. Przy każdej sposobności wszczynał na ten temat rozmowę. [...] Bronił się jak mógł przed procesem starzenia, wynajdował jakieś nadzwyczajne środki na porost włosów... [...] Kancelarią swoją nie zajmował się zupełnie, podobno nawet mało znał się na rejenturze. Pomimo swej erudycji był bardzo nieśmiały. Nigdy nie można go było namówić do publicznego wystąpienia czy wieczoru autorskiego.

1 listopada 1925 Przez Szczerzeszyn przejeżdżał ze Lwowa do Warszawy pociąg ze zwłokami Nieznanego żołnierza. [...] Liczne tłumy udały się na stację Seminarium Nauczycielskie w komplecie, Rada Miejska, wszystkie organizacje i dużo luźnej publiczności. W podniosłym nastroju, w pozycji na baczność, patrzyliśmy na zbliżający się pociąg, a potem podchodziliśmy do

ostatniego wagonu zamienionego na kaplicę, w której stała trumna ze zwłokami. Nieprzyjemne wrażenie sprawił na nas elegancki wagon osobowy tuż za lokomotywą z rozbawionymi i wesoło śmiejącymi się oficerami konwojującymi pociąg.

W samym Szczepieszynie właściwie nic się nie działo. [...] w gospodarce miejskiej nie dało się zauważyć żadnego postępu. Na posiedzeniach rady miejskiej radzono, gadano bez końca, kłócono się wzajemnie się oskarżano, uchwalono, po raz nie wiem który, zainstalowanie w mieście lamp żarowo- naftowych.

[...]

Jeździłem bardzo często do Zamościa, gdzie życie umysłowe bilo coraz szybszym tętnem. [...] Przyjeżdżało się do Zamościa końmi i zostawiało się je w staroświeckim zajeździe Żyda Dityrycha. [...] Sprawunki i interesy załatwiano się szybko, bo przecież wszystkie sklepy mieściły się albo w rynku, albo w przyległych uliczkach.[...]

Zakład fryzjerski, uznany i uczęszczany przez cały świat zamojski, był tylko u Wawrzyszczaka w Domu Centralnym. Utrzymywał on swe wyłączone stanowisko aż do ostatniej wojny, skutecznie broniąc się przed konkurencją. Tu się spotykało mnóstwo znajomych, słuchało kawałów, ostatnich plotek i nowinek. Panie do czesania i ondulacji uznawały tylko zakład Szepsowej przy ulicy 3 Maja. Nieraz siedziały tu po kilka godzin i plotkowały ile wlezie.

Krawców było kilku bardzo wziętych. Z Polaków przede wszystkim Dytry.[...] Znany był z tego, że roboty przetrzymywał całymi miesiącami. Należał do zamojskiej endecji, często paradował w sokolim mundurze. Poza nim, oczywiście, Żydzi- Rychtman i Grossman [...]. W sklepach i zakładach żydowskich każdy miał niemal nieograniczony kredyt. To też mało było osób wśród „towarzystwa” zamojskiego, które by nie korzystały z tego kredytu. Niektórzy wprost po uszy siedzieli w długach u Żydów.[...]

Bywały jeszcze do załatwienia sprawy w urzędach.[...] Najgorszy był urząd skarbowy. Szło się tam z wielką niechęcią. Już samo wejście do urzędu i wygląd sal biurowych sprawiały odstręczające wrażenie. Wszędzie brud, zaduch, pełno dymu. Urzędnicy, pochyleni nad dużymi księgami, stosami akt lub wprawnie przebierający palcami na wielkich liczydłach, byli przeważnie biednie ubrani, zaniedbani, znudzeni, w stosunku do interesantów bardzo nieuprzejmi i opryskliwi, jak w żadnym innym urzędzie.[...] W stosunku do ogółu interesantów- Żydów, chłopów i ludzi gorzej ubranych- niektórzy urzędnicy bywali bardzo niegrzeczni, a nawet brutalni. Przeprowadzenie wyjaśnień w sprawach złożonych zeznań nosiło wprost charakter jakiegoś śledztwa policyjnego. Czasami miewał człowiek wrażenie, że się znajduje w bolszewickiej czerowyczejce.[...]

Kiedy się już pozałatwiano w mieście wszystkie interesy i sprawunki, nabiegało, nalatało, człowiek czuł się zmęczony, głodny i chętnie myślał o posiłku. Na obiad i kolacje, jeśli się nie było gdzieś u znajomych, szło się do restauracji „Centralnej”, popularnie zwanej Centralka, prowadzonej dawniej przez „ciocię” Wojnarowską. Przez wiele lat innej restauracji nie znano. W porze obiadowej pełno było tu osób przyjezdnych z okolicy. Miejscowi przychodzili czasem do towarzystwa i tylko nieliczni stale się stołowali. Wieczorem natomiast, przy muzyce, można tu było spotkać bardzo wielu sędziów, adwokatów, urzędników, oficerów, niektórych nauczycieli, zapóźnionych okolicznych ziemian...[...]

Do osobliwości Zamościa należała winiarnia Fersztendika w rynku, zwana „zamojskim Fukierem”. Na parterze był zwykły skład wódek, win i innych napojów, a dopiero specjalnym wejściem wchodziło się do obszernej, oświetlonej elektrycznością piwnicy z kilkoma rozgałęzieniami. Tu znajdowały się beczki, omszałe gąsiorzy i tysiące butelek z winem i miodem. Dookoła stołu stały drewniane masywne krzesła i tu się piło doskonale wina.[...] Usługiwał zwykle sam właściciel, stary Fersztendik, ortodoksyjny Żyd w długim czarnym chałacie. Znał się doskonale na winie i swoich gościach i dobrze wiedział co komu podać. Do wina stawiał zawsze spodeczek z migdałami.

Gdy ludzie uporali się już ze swoją codzienną pracą zawodową, zjedli obiad, trochę odpoczęli dopiero zaczynało się życie społeczne, organizacyjne, towarzyskie.[...] Najrozmaitszych organizacji, stowarzyszeń i związków była nieprzebrana moc.[...] Niektórzy należeli do kilkunastu, a nawet więcej.[...] Czasami wszystkich dni w tygodniu były zajęte jakimiś zebraniem posiedzeniami. Trzeba jeszcze do tego dodać różne imprezy sporadyczne [...]

Ta olbrzymia mnogość rozproszkowanych organizacji i ciągłych zebrań stanowiła wprost plagę społeczną, wielu odrywała lub wręcz odzwyczajala od pozytywnej, systematycznej pracy. [...] W niektórych organizacjach ludzie brali udział z konieczności, zwłaszcza urzędnicy państwowi i samorządowi.

Nienależenie do takich towarzystw jak Liga Obrony Powietrznej i przeciwgazowej lub Liga Morska i Kolonialna, albo Związek Obrony Kresów Zachodnich, Towarzystwo Rozwoju Ziemi Wschodnich etc. było bardzo źle widziane przez władze.

Dość częstym gościem bywał w Szczebrzeszynie gen. [Felicjan] Sławoj-Składkowski--ówcześnie Minister Spraw Wewnętrznych, w latach 1936-39 premier. [prywatnie brat p. Niedzielskiej, żony dyr. Seminarium RK]. W czasie wypadów służbowych nieraz wstępował tu na kilkanaście godzin, by odwiedzić matkę i siostrę, dyrektorkę Niedzielską.

Druga rodzona siostra Sławoja, Dobrosława, była nauczycielką szkoły powszechnej w Senderkach, niedaleko Józefowa. Kiedyś Dobrosława ciężko zachorowała i przyjechała do Niedzielskich. Stwierdziłem u niej tyfus plamisty. Nie chcąc brać na siebie odpowiedzialności i obawiając się grymaśnej pacjentki w szpitalu, poradziłem, żeby dano znać Sławojowi, może by ją samolotem sanitarnym przewiózł do Warszawy. Sławoj natychmiast przyjechał, ale koleją, kategorycznie oświadczył rodzinie, że nie myśli tyfusu plamistego zawozić do stolicy i kazał ją umieścić u mnie w szpitalu. Nie lada sensacja była w miasteczku, gdy środkiem jezdnii transportowano na noszach chorą do szpitala, w otoczeniu matki, siostry, dyrektora Seminarium i z krocącym obok Sławojem. Zdarzyło się to w grudniu, mróz był dość tęgi. W pewnym momencie Sławoj przykrył siostrę swym generalskim płaszczem, a sam szedł tylko w mundurze, co wywołało jeszcze większą uciechę wśród coraz liczniejszego tłumu gapiów.[...]

Kiedyś znowu przyjechał do dyrektorstwa Niedzielskich na chrzciny syna Rafała. Przy kolacji, jako ojciec chrzestny, wygłosił skandalicznie frywolne przemówienie, którymi nawet zaślepiona matka była zgorszona. Za każdą swoją bytnością opowiadał mnóstwo kawałów i przygód [...]. A mówił tak obrazowo i z humorem, żeśmy się pokładali ze śmiechu.[...] Każdy przyjazd ministra był dla miasteczka sensacją, a już policja w całym powiecie ze strachu nie wiedziała, co ma robić.

W tych właśnie latach Sławoj, wróciwszy po kilkumiesięcznym pobycie z Paryża,[...] przeprowadził rozwód z pierwszą żoną i przygotowywał się do ożenku z Hiszpanką poznaną w Paryżu. Rodzina nie bardzo była z tego zadowolona, a dyrektorowa Niedzielska z właściwym sobie złośliwym dowcipem dowodziła, że „Sławek zawsze lubił studia etnograficzne”. [...] Była to najczystszej krwi hiszpanka z bogatej rodziny [...]. U niej, już jako wdowy po wojskowym lekarzu z kilkunastoletnią córką, zainstalowano Sławoja w Paryżu. Ognista Hiszpanka tak się zaopiekowała swym lokatorem, że ten postanowił się z nią ożenić.

Okaz to by pierwszorzędny! Mieliśmy na co patrzeć. Wzrostu średniego, włosy czarne jak heban przewiązane wstążką z dużą kokardą, wymalowana i wyszminekowana niczym aktorka wychodząca na scenę. Ubrana dziwacznie, spódniczka powyżej kolan, ramiona całkiem obnażone, a był wówczas koniec listopada i zimno porządne.. zdradliwy ząb czasu wyciskał na niej już wtenczas aż nadto wyraźne piętno. Po polsku mówiła tylko „dzień dobry” i „dziękuję”. Rzucała się i skakała po całym mieszkaniu, krzyczała, śpiewała i zachowywała się dziwacznie.

Będąc u mnie Sławoj ofiarował na szpital 200 złotych i zaproponował, żebym razem z nimi pojechał do Warszawy. Bez namysłu skorzystałem z okazji ze względu na uciechę, jaką spodziewałem się mieć w drodze, i żeby za otrzymane pieniądze kupić wózek do przewożenia chorych.

Wyjazd został wyznaczony na godzinę szóstą rano. Gdy przyszedłem o tej porze do Niedzielskich, Sławoj był już gotów, popędzał wszystkich i wrzeszczał: „Tempo, Tempo!”. Wreszcie pięknym, ogromnym, otwartym austro-daimlerem wyruszyliśmy, przy czym Sławoj usiadł za kierownicą, a Hiszpanka obok niego. Jazda była kawalerska i urozmaicona. W Izbicy Sławoj miał przemowę do świni, która zatarasowała szosę [...]. W lesie za Krasnymstawem nagle stanęła ostro zahamowana maszyna i usłyszeliśmy tubalny głos Sławoja: „Jeremiałna inspekcja lasu, panie na lewo, panowie na prawo”. [...] Nawaliła po tym kicha, Sławoj z pasją rzucił się do lewarowania auta i zakładania zapasowego koła, szofer mu tylko przy tym pomagał.

Na pewnym odcinku szosy Sławoj wziął szybkość dobrze ponad 100 kilometrów na godzinę. Hiszpanka, upojona szaloną jazdą, objęła go wówczas za szyję i zaczęła całować. A myśmy siedzieli w milczeniu, ze strachem oczekując, co z tego wyniknie. Sławoj się nie poruszył, wpatrzony w szosę rozwijał szybkość. Wreszcie Hiszpanka uspokoiła się i wtedy dopiero Sławoj, trzymając lewą ręką kierownicę i nie zmniejszając szybkości, zaczął prawą dłonią oddawać całusy.

Nareszcie dojechaliśmy do Warszawy. Na przedmieściu szosa była fatalna i Sławoj, wbrew przepisom, zaczął prowadzić wóz lewą stroną gdzie bruk był już naprawiony. W pewnym miejscu posterunkowy zatrzymał samochód i wyjął blok do wypisywania mandatu. Poznawszy ministra ogromnie się stropił, lecz Sławoj pochwalił go za gorliwość służbową i kazał swemu sekretarzowi, który też z nami jechał, zapisać jego numer i nazajutrz w komisariacie wypłacić 25 złotych nagrody. Pojechaliśmy wprost do mieszkania Składkowskich, tuż obok wojskowego szpitala na Mokotowie. Zaciągnęli mnie jeszcze do siebie na wino, które we flaszkach całymi kosztami sprowadzano z Francji, ponieważ bez niego Hiszpanka nie mogła żyć. Mieszkanie mieli skromne, o małych czterech pokojach.

[...]

Najwybitniejszym wydarzeniem tego roku był przyjazd do Zamościa prezydenta Rzeczypospolitej prof. Ignacego Mościckiego. Miało to nastąpić w czerwcu, przygotowania zaczęły się parę miesięcy przedtem. Pan prezydent zgodził się przybyć do Zamościa na poświęcenie Szkoły Rolnicze im. Józefa Piłsudskiego w Janowicach, tym chętniej, że z Zamojszczyzną były związane wspomnienia jego młodości, w Skierbieszowie bowiem, w domu rodziców, spędził swe dziecięce lata, a w Zamościu zaczynał naukę gimnazjalną. [...]

Program dwudniowego pobytu prezydenta został drobiazgowo opracowany i w najmniejszych nawet szczegółach uzgodniony z szefem kancelarii cywilnej. [...] Zaroiło się w mieście i okolicy od agentów tajnej policji Ostrożność była posunięta tak daleko, że w szkole w Sitnie przeprowadzono rewizje nawet w kuferkach uczennic. Robiło to niezbyt przyjemne wrażenie.

18 czerwca rano wybrałem się końmi do Zamościa na całe dwa dni, ażeby Mając imienne zaproszenia na wszystkie programowe imprezy i raut wziąć udział w uroczystościach powitalnych, tym bardziej, że nigdy jeszcze prezydenta nie widziałem. Zawczasu musiałem sprawić sobie nowe czarne palto i kupić pierwszy i ostatni w życiu melonik. Dzień był wyjątkowo gorący i upał dawał się wszystkim mocno we znaki. Lecz trzeba było zastosować się do ceremoniału.

Przyjechał prezydent w godzinach przedpołudniowych samochodem od strony Lublina, w otoczeniu licznej świty [...]. Od granic powiatu już kilka razy go zatrzymywano i witano. Udał się najpierw do kolegiaty, a potem do starostwa, gdzie przygotowano dla niego cały apartament i tu jadł obiad w ścisłym gronie swego otoczenia. Warto zanotować ciekawy szczegół, że lekarz powiatowy, dr Branicki, musiał przedtem w kuchni sam próbować wszystkich potraw, jakie miały być podane i kosztować wina z butelek, które przy nim odkorkowywano. [...] Wieczorem odbył się raut w kasynie oficerskim w koszarach. Przed kasynem na dworze stał stół, przy którym siedzieli oficerowie i prowadzili ścisłą kontrolę przybywających. [...].

O godzinie dziesiątej zjawił się prezydent i od tej chwili jus nikogo na salę nie wpuszczano. Wkrótce odbył się cercle, w czasie którego starosta przedstawiał prezydentowi po kolei wybitnych obywateli miasta i powiatu. [...] Starosta Koślacz chciał przedstawić i mnie, lecz się wymawiałem bo raził mnie ten suchy szablon i byłem onieśmielony w swym starym, kusym, niemodnym fraku. Lecz ani się spostrzegłem, gdy w pewnym momencie schwycił mnie za ramię i postawił przed prezydentem. mówiąc: „Oto dyrektor jednego z naszych szpitali, który jednak więcej zajmuje się historią aniżeli medycyną”. Trochę mnie to stropiło, czułem, że mam głupkowatą minę, prezydent uśmiechając się po swojemu wyciągnął rękę i powiedział coś w rodzaju „aa”. [...] Coś tam odbąknąłem i już musiałem się usunąć, bo „podawano” następnego gościa.

Po odjeździe prezydenta nastąpiło widoczne odprężenie w ogólnej, bardzo oficjalnej atmosferze i rozpoczęła się wesoła zabawa taneczna, która trwała do białego rana. [...]

A w Szczebrzeszynie życie szło swoim własnym trybem, to znaczy zaledwie wegetowało. Rada Miejska w pełni wykazała swą nieudolność, nie stać ją było na żaden czyn realny, posiedzenia były jałowe, najwięcej czasu zajmowały napaści i zarzuty przeciwko burmistrzowi Kołodziejczykowi. Wreszcie w maju [1928] władze rozwiązały Radę Miejską i zarządziły nowe wybory. Wówczas wszystko się ożywiło, rozpoczęła się agitacja i walka

przedwyborcza. Największy ruch panował wśród żydów, którym chodziło o wprowadzenie dużej liczby swoich radnych. Wśród Polaków zainteresowanie wyborami też było tym razem niemałe.

Miejscowa inteligencja postanowiła wyjść wreszcie ze stanu bierności i wziąć czynniejszy niż zwykle udział w wyborach, a ponieważ ludność miasteczka do swoich kilku list nie chciała dopuścić ludzi z wykształceniem, więc została stworzona osobna lista kandydatów wywodzących się wyłącznie spośród inteligencji. Tylko tym sposobem weszli do Rady ks. Kanonik Wadowski i dyrektor Niedzielski. Ja byłem na liście na trzecim miejscu i zabrakło mi kilkunastu głosów.

[...].

Starostą powiatowym w Zamościu został mianowany płk. Jan Janusz Pryziński, były oficer II Brygady Legionów, ostatnio dowódca pułku kawalerii w Złoczowie.[...] Zjawił się w Zamościu w mundurze pułkownika, obwieszony orderami, bardzo przystojny, elegancki, z dumnie podniesioną głową. [...] Zaczął od razu rządzić w powiecie po wojskowemu, wydając rozkazy na prawo i lewo. Przede wszystkim uporządkował biura starostwa i Wydziału Powiatowego[...] i podniósł do niezwyklego dotychczas poziomu prestiż urzędu, dodając mu splendoru swoją osobista prezencją.

Nie nazywano go inaczej jak pułkownikiem, zwłaszcza wobec oświadczenia, że nie lubi, gdy go nazywają starostą. Na tym tle powstawały nawet czasem nieporozumienia, ponieważ nieświadomi rzeczy interesanci, jak na przykład rabin Szczebrzeski, przy załatwianiu ważnych spraw za nic nie chcieli iść do żadnego pułkownika, tylko do starosty. Zdaje się, że województwo zwróciło mu w końcu uwagę, iż należałoby jednak zmienić ten styl wojskowy i przywrócić urzędowaniu bardziej cywilny charakter, bo po kilku miesiącach zaczął już rzadziej ukazywać się w mundurze i częściej nazywano go starostą. [...] Do Szczebrzeszyna przyjeżdżał Pryziński bardzo często, łąził po całym mieście i sypały się wówczas grzywny na żydów za brud i niechlujstwo.[...] Klinkierem udzielonym przez Wydział Powiatowy wybrukowano główną ulicę. [...] Ułożono wówczas sporo chodników z porządnymi krawężnikami, posadzono dużo drzewek przy drodze głównej. Na skutek nalegań starosty Pryzińskiego Ordynacja Zamojska odnowiła należący do niej ratusz w środku rynku.

Do Szczebrzeszyna przyjeżdżał Pryziński bardzo często, łąził po całym mieście i sypały się wówczas grzywny na Żydów za brud i niechlujstwo.[...] Klinkierem udzielonym przez Wydział Powiatowy wybrukowano główną ulicę. [...] Ułożono wówczas sporo chodników z porządnymi krawężnikami, posadzono dużo drzewek przy drodze głównej. Na skutek nalegań starosty Pryzińskiego Ordynacja Zamojska odnowiła należący do niej ratusz w środku rynku.



Ulegając swej pasji porządkowania, kazał Pryziński znieść przebiegające dookoła rynku wzdłuż domów bardzo charakterystyczne, stare, drewniane podcienia. Były one co prawda w okropnym stanie, lecz nadawały rynkowi tak swoisty wygląd, że szczerze żałowałem tego zabytku, zniszczonego niezbyt-
moim zdaniem- przemyślanym i zbyt pochopnie przeprowadzonym zarządzeniem starosty.

[...]

W żadnym roku tak się nie bawiłem jak w 1928. Ze swoich starych notesów widzę, że w karnawale nie opuściłem żadnego większego balu, a czasem w ciągu jednej nocy bywałem nawet na paru zabawach. [...].

Powodzenie materialne w znacznym stopniu mnie demoralizowało, zdrowiem cieszyłem się w owym czasie doskonałym, o jutrze nigdy nie myślałem, czułem wstręt do ciułania grosza i od razu wydawałem wszystko co zarobiłem. Ubierałem się zawsze skromnie, lecz pisma i książki pochłaniały bardzo poważne sumy, jak równie częste wypadły ze Szczepieszyna, zjazdy naukowe bibliofilskie itp. Za ciasno mi już było w Szczepieszynie, pociągało mnie życie bardziej wszechstronne i na szerszą skalę.[...]

Zacząłem marzyć o własnym samochodzie, lecz gotówki nie miałem żadnej i trzeba było wprawdzie ją nazbierać. Postanowiłem na jakiś czas ograniczyć swoje bieżące wydatki[...] i po kilku miesiącach mogłem już plan swój zrealizować. A samochody w tych latach były jeszcze stosunkowo bardzo drogie i nie tak rozpowszechnione i łatwo dostępne jak w latach późniejszych. Najskromniejszy kosztował około 10.000 złotych.[...] W połowie maja pojechałem do Warszawy i kupiłem skromny, czterocylindrowy samochód.

[...]

Latem i jesienią tego roku, w ciągu dobrych kilku tygodni Zamojszczyzna przesyła sensację skutek objawienia się nowego „proroka”, „cudotwórcy” Michałka z Michalowa. Był to najzwyczajniejszy czeladnik kowalski, który nasłuchawszy się różnych kazań i nauk religijnych, zaczął sam wygłaszać czasem podobne zdania. Produkcje swe rozpoczął w czasie pełni księżyca późnym wieczorem, wzbudzając na razie prostą ciekawość wśród nielicznych świadków. Gdy jednak zaczęło się to powtarzać regularnie, co tydzień w określone dni, zbierało się coraz więcej osób. Michałek zwykle przy tym wędrował, za nim śpieszył tłum gapiów, a wszyscy zatrzymywali się na łączce niedaleko młyna i mostu w Michalowie i tu dopiero Michałek wypowiadał biblijnym stylem wiele zdań i prorocत्व bez żadnego składu i związku, najczęściej o grzechach, o pokucie, o końcu świata.

Jednak fama o nim dziwnie szybko się rozszerzała i z każdym tygodniem gromadziło się coraz więcej ludzi żądnych sensacji. Schodzili się już nie tylko z sąsiednich wsi, lecz zaczęli furmankami zjeżdżać z dalszych okolic. W końcu Michałek zdobył niebywałą wprost rozgłos. Przybywali na oznaczone z góry dni ludzie ze wszystkich sąsiednich powiatów, z całej Lubelszczyzny, a poszczególne grupki i pojedyncze osoby z całej Polski. Przyczyniały się do tego wzmianki w prasie o cudach i objawieniach Michałka. Już na wiele godzin przedtem ciągnęły przez Szczebrzeszyn nieprzerwanym sznurem furmanki naładowane pątnikami, ze znaczną przewagą kobiet.[...] Tym sposobem gromadziło się w Michalowie do kilkunastu tysięcy ludzi. Z miasta dążyli przekupnie z jedzeniem i herbatą, tak samo i chłopci z Michalowa rozkładali na długich stołach swoje wiejskie produkty. Ciągnęli duże zyski i z noclegów. Zjawiali się handlarze dewocjonaliami, dwaj fotografowie Polak i żyd sprzedawali pocztówki z podobizną Michałka i kłócili się między sobą o prawo do monopolu pod tym względem, udzielone jakoby każdemu z nich przez samego Michałka.

Działacze partyjni z posłem Diduchem na czele starali się wykorzystać tak liczne zgromadzenia dla swoich celów politycznych. A sam Michałek przez ciągłe ćwiczenie wyrobił się, w transie był znacznie pewniejszy siebie, potrafił coraz dłużej mówić, powtarzając w kółko to samo i doprowadzając ludzi do ekstazy religijnej. Jeździłem raz do Michalowa, a żeby samemu z bliska zobaczyć tego Michałka i posłuchać co mówi. W miejscu jego objawień ustawiono duży drewniany krzyż. Zorganizował się osobny komitet,[...] żeby zebrać odpowiednie fundusze i wybudować tu kaplicę. Wreszcie cała ta impreza stała się zbyt głośna. Wielotysięczne zgromadzania co tydzień były za nadto kłopotliwe, wymagały większej czujności ze strony władz administracyjnych i policji. W prasie pojawiły się artykuły wytykające ciemnotę ludu i beczynność władz. Wszystko to skłoniło starostę Pryzińskiego do bardzo szybkiego zlikwidowania rzekomych objawień.[...] Michałka oddano na obserwację do zakładu w Lublinie, skąd wróciwszy zabrał się do zwykłej pracy. Po kilku latach ożenił się i niczym już się nie wyróżniał wśród szarego tłumu pracowników wiejskich.[...] Nieco niewyraźne miny mieli członkowie komitetu budowy kaplicy w Michalowie.

[...]

W kwietniu [1929] miał Szczebrzeszyn niezwykłą sensację--ucieczkę burmistrza Klubego.[...] W ostatnich czasach jasne było, że z finansami miasta coś jest nie w porządku i że Klube coraz bardziej się zaplątuje. Wreszcie

któregoś dnia, dowiedziawszy się w niewyjaśniony sposób, że władze wpadły na trop jego nadużyć i że może być aresztowany, znikł ze Szczebrzeszyna. Rozesłane listy gończe nie dały żadnego rezultatu i przyłapać nie udało się go nigdy. Dokładna inspekcja magistratu wykryła, że zdefraudował przeszło 20.000 złotych. Dla miasteczka, którego normalny roczny budżet wynosił zaledwie około 40.000 złotych, była to suma bardzo duża.

[...]

Warto wspomnieć o sprawie, która wyjątkowo żywo poruszyła umysły ogółu ludności Zamościa. Z inicjatywy posła adwokata Henryka Świątkowskiego, przywódcy miejscowej grupy PPS, i jego zwolenników, podjęta została bardzo silna agitacja za wprowadzeniem w Zamościu prohibicji. W niedzielę 12 maja miało odbyć się powszechne głosowanie za lub przeciw zakazowi sprzedawania wódki. Już na parę tygodni przedtem wszczął się niebywały ruch. Z jednej strony działali „zwolennicy trzeźwości” wydając odpowiednie odezwy, rozpowszechniając ulotki i broszury propagandowe, zwołując zgromadzenia; a drugiej zaś jeszcze czynniej występowali srodze zaniepokojeni przeciwnicy projektu, i to głównie ze względów utylitarnych. Organizowali liczne wiece i zebrania protestacyjne. „Pracownicy gastronomii” ogłosili List otwarty do posła Świątkowskiego, „inwalidzi koncesjonariusze” wydali swoją odezwę, inni też coś ogłaszali. Dowodzili, ile na prohibicji straciłby Zamość, jak obniżyłoby się jego znaczenie, upadłby handel, nastąpiłoby zubożenie miasta.

Świątkowski wydrukował ulotkę Odpowiedź wszystkim obrońcom „złotej wolności” sprzedaży wódki. Słowem ruch w mieście był niebywały, nikt o niczym innym nie mówił, jak tylko o wódce i prohibicji. W restauracjach i drobnych handelkach popyt na wódkę wzrósł się kolosalnie, „bo to nic nie wiadomo, co jutro będzie”. W przeddzień głosowania rejent Zieliński zaprosił do siebie na kolację Lewickiego, Rosińskiego, mnie i jeszcze paru panów. pod pretekstem, że to może ostatni dzień kiedy można popić, wystawił całą baterię najrozmaitszych wódek. Byliśmy w doskonałych humorach i wypiliśmy wyjątkowo dużo, nawet zwolennicy prohibicji, między innymi mecenas Rosiński, który – jak powiadał! tego dnia miał pociąg. Nazajutrz głosowanie przyniosło pełne zwycięstwo przeciwnikom trzeźwości. Pijaństwo poszło na całego.

[..]

Mijało już dziesięć lat mojego pobytu w Szczebrzeszynie. Po raz pierwszy poczułem się trochę zmęczony intensywnym trybem życia i pracy. Ani razu dotychczas nie korzystałem z urlopu. [...] Postanowiłem pojechać do Truskawca. Początkowo miałem zamiar przebywać tam pełne cztery tygodnie, lecz z jednej strony czułem się zupełnie zdrow, z drugiej głowę miałem zajęta nieprzepartą chęcią nabycia nowego samochodu o większej sile motoru. Skróciłem więc znacznie urlop, pojechałem do Lublina i tam sprzedałem swój stary, mały samochód, a nabyłem za 14.500 złotych sześciocyndrową limuzynę Chevroleta, najnowszy model. Maszyna była duża, wygodna, rozwijała dobrą szybkość, co mi jeszcze bardziej ułatwiło kontakt z Zamościem, do którego jechałem zwykle 15--20 minut.[...]

Utrzymanie samochodu kosztowało mnie bardzo dużo, ponieważ miałem stałego szofera! mechanika, zużycie benzyny było znacznie większe niż przy poprzednim małym aucie, a oprócz tego nowy samochód wybitnie podniósł moją ogólną skalę

Rok 1930 rozpoczął się dla mnie niezbyt przyjemnie, gdyż w pierwszych dniach stycznia uległem poważnej katastrofie samochodowej z której na szczęście wszyscy wyszli cało, tylko auto bardzo ucierpiało i musiałem odesłać go remontu do Lublina.

[...]

Nieudane [dla BBWR] wybory w 1928 roku dały taki Sejm i Senat, że [...] na listopad 1930 roku rozpisano nowe. Nauczony niepowodzeniem z poprzednich wyborów BBWR [Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem] zabrał się zawnazas do pracy [...]. Wszelkimi sposobami popierany przez rząd, rozporządzał znacznymi sumami, poza tym miał zapewnioną pomoc i współpracę ze strony administracji w szczególności wojewodów i starostów [...]. Od tego wprost zależała ich kariera służbowa.[...] Starosta Pryziński stanął w pierwszym szeregu walczących o mandaty BBWR. Nie krępował się niczym. Wywierał nacisk na urzędników, burmistrzów, wójtów a policję to już całkiem zaprzęgnięto do akcji przedwyborczej. Na wszelkie sposoby utrudniano urządzenie wieców i zgromadzeń przedwyborczych stronnictwom opozycyjnym, pod różnymi pretekstami zatrzymywano i choć na krótko osadzano w areszcie agitatorów partyjnych, zwłaszcza z radykalnego Stronicewa Chłopskiego, niszczone opozycyjną literaturę propagandową. Przy ustalaniu kandydatów na posłów głos starosty miał decydujące znaczenie.

Pryziński nie chciał dopuścić do wyboru nikogo bardziej niezależnego i o wybitniejszej indywidualności. [...] Tym sposobem na pierwszym miejscu listy BBWR stał Walery Sławek, na drugim Stanisław Syta, instruktor kółek rolniczych, człowiek skromny i o całkiem przeciętnej umysłowości, dopiero na trzecim Stanisław Świeżawski, syn obywatela ziemskiego, młody bardzo zdolny prawnik. [...] Nadszedł dzień wyborów do Sejmu. W tym dniu bezprawia, gwałtu, szachrajstwa było najwięcej. Cała policja [...] zamieniła się w naganiaczy BBWR. Stosując się do przepisów prawa, policjanci pilnowali, by w promieniu pewnej liczby metrów od lokalu wyborczego nie uprawiano żadnej agitacji, lecz równocześnie sami wpychali wyborcom do rąk kartki z listą numer 1 [BBWR]. Robili to bezczelnie nawet w samych lokalach wyborczych. W zasadzie głosowanie było tajne, ale mężowie zaufania i niektórzy członkowie komisji wyborczych bacznie śledzili, kto jaką kartkę wkłada do otrzymanej koperty. To skłaniało wielu wyborców, przede wszystkim urzędników! do demonstracyjnego wkładania „jedynek”, dla okazania swej lojalności, często wbrew istotnym przekonaniom.[...] Pod różnymi pozorami starano się utracić głosujących, o których wiadano, że są przeciwnikami BBWR, a ponieważ na prowincji wszyscy się znają, więc nie trudno było w tym się orientować. Kwestionowano tożsamość wyborców, ich wiek, miejsce zamieszkania, Żądano okazywania dowodów osobistych, które mało kto miał przy sobie! i nie dopuszczano do głosowania. Z żydami ceremoniowano się jeszcze mniej. Nie tak powiedziane imię, przekręcone nazwisko, mylnie podany numer domu! już wystarczyły do usunięcia ich od urny. Natomiast nie czyniono najmniejszych utrudnień głosującym na „jedynekę” [...]. Mężowie zaufania byli bezsilni. Ich doraźne sprzeciwy nie odnosiły żadnego skutku. [...]

Przewodniczący komisji bezapelacyjnie rozstrzygał wszystko własną decyzją Mężowie zaufania mieli jedynie prawo wnosić na piśmie umotywowane reklamacje do przewodniczącego komisji okręgowej. Niektórzy [członkowie komisji] w sprytny sposób, niepostrzeżenie dorzucali do urn koperty z kartkami numer 1; stawiali potem odpowiednią ilość kresek w spisach wyborców. Już

przy podliczaniu głosów też starano się unieważnić jak najwięcej kartek nie BBWR i fałszowano cyfry. [...]

Z wydarzeń, które poruszyły trochę umysły mieszkańców, przypominam sobie głośną akcję antyżydowską podjętą głównie przez organistę Bolesława Steca. Chodziło o usunięcie z miejscowych szkół powszechnych trzech nauczycielek żydówek. Po odpowiedniej agitacji zebranie rodzicielskie pod przewodnictwem Steca uchwaliło rezolucję domagającą się zastąpienia żydówek nauczycielkami Polkami. W rezultacie inspektor szkolny przeniósł dwie żydówki gdzie indziej, a w Szczepieszynie została tylko jedna żydówka, Holcówna.

[...]

Bardzo ważnym wydarzeniem było zainstalowanie oświetlenia elektrycznego. 23 grudnia 1930 r. zapalono na ulicach Szczepieszyna pierwsze lampy. Na razie prądu stałego dostarczał duży młyn ordynacki położony tuż za miastem. Pożałuj Boże, co to było za światło! Zwłaszcza w zimie. Mrugało przy każdym obrocie pasa transmisyjnego, prąd bywał często tak słaby, że czytać mogliśmy tylko przy dodatkowych lampach naftowych, a w czasie silnych mrozów światło gasło mniej więcej co godzinę, nieraz nawet częściej, bo obmarzały koła we młynie i trzeba było je oczyszczać z lodu. A w ogóle światło było tylko od zmroku do północy. Nie rozstawaliśmy się więc ze świecami i lampami naftowymi. Ale w każdym razie był to już pewien postęp.

[...]

Z końcem 1930 roku przeprowadziłem rozwód z żoną, która od wielu lat mieszkała z synem w Warszawie, miałem bowiem zamiar zawrzeć nowy związek małżeński w styczniu 1831 r. [W Wilnie wstąpili z przyszłą żoną do kościoła luterańskiego. Tam doktor został rozwiedziony i wziął ślub z Zofią Szymańską, córką zamieszkałego w Zwierzyńcu budowniczego Ordynacji—był to prawie jedyny sposób na rozwód i nowy związek małżeński. W Szczepieszynie krążyły nieprawdopodobne plotki, że do tego małżeństwa zmusili doktora bracia Zofii. Dr liczył lat 46—Zofia 22 RK]

Zakładanie nowego ogniska rodzinnego, od którego zdążyłem się już odzwyczaić, zajmowało mi dużo czasu i absorbowało myśli. Z jednej strony w moim życiu i domu zapanował ład i porządek, lecz z drugiej ustała wszelka praca naukowa. Nie miałem ku temu odpowiednich warunków. Roboty w szpitalu było dużo, praktykę prywatną miałem niezgorszą, z dość częstymi wyjazdami, prawie codziennie pod wieczór jeździliśmy do rodziców żony, [do Zwierzyńca], wchodziliśmy w życie towarzyskie.

Tak był wypełniony cały dzień, że już nie pozostawało mi na nic czasu. Chyba tylko do przeczytania gazet i czasopism bieżących, których stale prenumerowałem wielką liczbę. Specjalnie interesowałem się tą dziedziną, ponieważ nie wyobrażałem sobie swojego życia na prowincji bez dużej ilości czasopism o najrozmaitszym charakterze. Bywały lata, że liczba prenumerowanych przeze mnie dzienników, tygodników, miesięczników, kwartalników i roczników sięgała liczby 30. Pisma te były jedyną [? RK] radością mojego życia, im w znacznym stopniu zawdzięczam, że utrzymywałem stały kontakt ze światem kultury i przez nie wyższym tętnem biło moje osobiste życie umysłowe. [...]

Nawet [książek] czytałem o wiele mniej niż zwykle. I jeszcze w dodatku przed samym ożenkiem kupiłem doskonały aparat radiowy, pierwszy, jaki w

ogóle posiadałem. Przedtem nigdy nie chciałem mieć radia w obawie, że będzie odrywało mnie od pracy. Przekonałem się, że miałem rację [...].

Wsiąknęłam w życie rodzinne, z czym mi zresztą było bardzo dobrze, lecz równocześnie czułam, że mój umysł, niepodniecany żadną pracą twórczą, zaczyna stopniowo jałowieć.

[...]

A Szczepieszyn jak zwykle wegetował. Zarznięty finansowo, na razie nie miał widoku rozwoju. Nic tu ludzi nie przyciągało, przeciwnie, kto mógł z inteligencji, starał się rychło wyrwać stąd do większego miasta. Rada miejska nic z siebie nie dawała, była bezużyteczna, do pracy nie zdolna. [...] W kwietniu [1931] odbyły się wybory nowego burmistrza. [...] Większością głosów przeszedł major rezerwy Jan Malinowski. Pochodził z zamożnej sfery ziemiańskiej, kształcił się w arystokratycznym korpusie paziów w Petersburgu, w wojsku polskim służył w kawalerii, po wystąpieniu z wojska gospodarował na małych dzierżawach[...]. Rozszedłszy się z żoną, [też w Wilnie w kościele luterzańskim] zlikwidował gospodarstwo rolne i osiadł na stałe w Szczepieszynie, gdzie otrzymał koncesję na hurtownię tytoniową.[...] Nie odznaczał się silnym charakterem, ulegał przeróżnym wpływom. [...] Szarpany przez wszystkich, napastowany przez radnych i ławników, nagabywany przez władze nadzorcze, nie mógł opanować sytuacji! zwłaszcza przy opłakanym stanie kasy miejskiej.

Na domiar złego w mieście było dużo bezrobotnych, którzy podjudzani gwałtownie przez komunistów i żydów bundowców, upominali się nie tyle o pracę, co o zasiłki, występując nieraz bardzo agresywnie. Stan rzeczy zaostrzył się zwłaszcza w 1932 roku. Wszystkie posiedzenia Rady Miejskiej wypełnione były zatargami z burmistrzem i zarządem miejskim. Wysuwano najrozmaitsze zarzuty i nieuzasadnione pretensje.[...] Posiedzenia Rady były bardzo burzliwe. Radni komuniści i bundowcy szukali popularności wśród mas, agitowali usilnie pomiędzy bezrobotnymi. W czasie posiedzeń Rady nieraz tłumnie zbierali się oni przed magistratem, wznosili okrzyki, przybierali groźną postawę, starali się wejść na salę. Sudak, Radzik i towarzysze domagali się coraz większych zasiłków dla bezrobotnych, radni większością głosów uchwalali ich wnioski, nie licząc się zupełnie z faktycznymi możliwościami zbankrutowanego miasta.

[...]

Ja po ponad 20 latach pierwszy raz przyczepiłem łyżwy i poszedłem na lód, ponadto dałem się porwać urokowi jazdy na nartach w 47 roku życia.[...] Sportem [wtedy] zajmowała się tylko młodzież. Starsze pokolenia przez dłuższy czas nie uznawało go zupełnie. Przy dyrektorze Niedzielskim w Seminarium kilkanaście razy graliśmy w siatkówkę i tyle. My pierwsi z żoną odważyliśmy się przypiąć narty i ukazać się na ulicy i rynku miasta. Narciarski stój żony wywołał nie lada sensację, bo nikt tu jeszcze kobiety w spodniach, nawet narciarskich, nie widział. Pędził za nami tłum wyrostków, głównie żydowskich.[...]

Z zamiłowaniem uprawiałem sport w zimie, sport narciarski. Na zakończenie sezonu zimowego zrobiliśmy dłuższą, bez mała 30 kilometrową wycieczkę narciarską, w której z wielkim wysiłkiem starałem się dotrzymać kroku znacznie młodszym uczestnikom, tj. żonie i sędziemu Bukowińskiemu. [...] Z inicjatywy sędziego Bukowińskiego, inżynierów z „Alwy”, [Fabryka kalafonii i terpentyny w Brodach Małych--nazwa pochodzi od pierwszych liter imienia i nazwiska twórcy i właściciela: Aleksandra Waligóry RK] i jeszcze paru

osób powstał kort tenisowy na placu „Sokoła”. Urządziliśmy go własnym kosztem i co dzień prawie, pod wieczór, z przyjemnością z niego korzystaliśmy

Potem kilku z nas, seniorów, stanęło do zawodów celem uzyskania P.O.S.--Państwowej Odznaki Sportowej. Dla propagandy sportu miało to pewne znaczenie. Brakowało mi kilku miesięcy do 50 lat. Lecz we wszystkich przepisowych ćwiczeniach łatwo osiągałem zupełnie dobre wyniki z wyjątkiem rzutu granatem, bo miałem nadwreżone prawe ramię w wypadku narciarskim i z trudem uzyskałem wymagane minimum. Bardzo byłem zadowolony otrzymawszy prawo noszenia złotego znaczka P.O.S.

[...]

Na początku 1932 roku grono postępowych adwokatów zamojskich, z posłem Świątkowskim [od 1923 r. członek PPS, potem we władzach tej partii, od roku 1947 do 1956 minister sprawiedliwości] na czele gorąco zajęło się reformą prawa małżeńskiego w Polsce [cel uzyskiwanie cywilnych rozwodów]. W celach propagandowych urządzili oni na ten temat w kilku miejscach odczyty zbiorowe. Jeden taki odczyt odbył się w styczniu w Zamościu, a w lutym w Szczepieszynie.[...] Sala była wypełniona po brzegi.[...] Ta propaganda za reformą prawa małżeńskiego wywołała niemałe zaniepokojenie w sferach klerykalno--konserwatywnych. Zaczęto też organizować odczyty i zebrania, na których ostro krytykowano wspomniany projekt reformy i zawzięcie broniono nienaruszalności sakramentu małżeństwa.

Najgoręcej przemawiał i z głębokim przekonaniem bronił zasady nierozzerwalności małżeństwa adwokat Paprocki, który nawiasem mówiąc właśnie w tym samym czasie jeździł do Wilna i tam w kościele ewangelicko reformowanym przeprowadził swój własny rozwód. Tak się przypadkowo złożyło, że jeszcze przed kilkoma laty pierwszy utorował drogę do Wilna i przeszedł na łono kościoła ewangelicko-reformowanego ultra katolik, czołowy członek Stronnictwa Narodowego i „Sokoła”, Ignacy Sawicki, były dzierżawca ordynacki. [dziadek żony dr Stefana Józwiakowskiego--dzierżawił folwark Brody Stare]

Paprocki był jednym z najczynniejszych członków Stronnictwa Narodowego, wiceprezes „Sokoła” i sztandarowym działaczem antyżydowskim. Miał duży dar wymowy i dlatego często występował publicznie. Przemówienia jego nieraz sprawiały dość silne wrażenie na słuchaczach i miałyby zupełnie inne znaczenie, gdyby ludzie nie wiedzieli, w jakiej sprzeczności pozostaje to, co mówi, z tym co robi. Gorąco, z najgłębszym przekonaniem dowodził na zebraniu publicznym w Szczepieszynie konieczność bojkotowania żydów, a ludzie się śmiali, bo wszyscy doskonale wiedzieli, że sam kupował przeważnie u żydów i nawet w sklepie Lustmana, znajdującym się w sąsiednim domu, zadłużony był po uszy.

[...]

Tymczasem w Zamościu miało miejsce pewne wydarzenie, które wywołało w nas głębokie oburzenie przeciwko staroście Zamecznikowi. W roku 1925, z mojej inicjatywy, zostało założone w Zamościu „Muzeum Zamojskie”, do którego na zapoczątkowanie ofiarowałem wszystkie moje zbiory regionalne. Muzeum było własnością Rady Powiatowej, mieściło się w lokalu sejmikowym, na piętrze gmachu pofranciszkańskiego, obok domu ludowego. Rada Powiatowa przejmując moje zbiory wyraziła mi za nie podziękowanie, uchwaliła osobny „Statut Muzeum Zamojskiego” i powołała „Komisję Muzealną” ze starostą na czele. Kosztem sejmiku sprawiono wzorowe gabloty i oszklone

szafy i w nich własnoręcznie umieściłem skromne na razie zbiory powiększane stopniowo przez nowe dary obywateli zamojskich.

Charakter muzeum w zasadniczym swoim założeniu był ściśle regionalny. Niestety muzeum nie rozwijało się tak, jakbyśmy sobie tego życzyli. Nie było nikogo w Zamościu, kto by chciał i mógł zająć się nim należycie. Ja mieszkając w Szczepieszynie zaglądałem doń tylko od czasu do czasu. Rosiński zajęty był polityką i działalnością społeczną w ramach BBWR. Słowem muzeum wegetowało będąc faktycznie instytucją martwą. Starosta Zamecznik bez żadnego uprzedzenia i porozumienia się z nami przeprowadził na Wydziale Powiatowym odpowiednią uchwałę, na której podstawie przystąpił do natychmiastowego zlikwidowania muzeum. Uczynił to w wyjątkowo bezceremonialnie sposób. Część zbiorów przekazał do muzeum szkolnego Gimnazjum Męskiego, całą moją piękną ceramikę oddał na fanty na loterię na rzecz ogrodu zoologicznego Millera, a niektóre rzeczy rozproszyły się po ludziach, bo przy przenoszeniu eksponatów każdy zabierał co chciał.

Stało się to tak szybko, że dowiedzieliśmy się o wszystkim, post factum. Niezmiernie żał mi było stworzonej przez siebie placówki, która, miałem nadzieję, z czasem znalazłaby właściwego kierownika i stałaby się instytucją żywotną i pożyteczną. Osobiście czułem się mocno dotknięty postępowaniem Zamecznika i nie mogłem mu darować zaprzepaszczenia zbiorów, które w lwiej części były zgromadzone przeze mnie i ofiarowane na własność Radzie Powiatowej na zapoczątkowanie muzeum. Byliśmy jednak zupełnie bezsilni wobec tej władzy, jaką miał wówczas w Polsce każdy starosta, mnie zaś utrudniało sytuację jeszcze to, że starosta jako przewodniczący Wydziału Powiatowego był moim bezpośrednim zwierzchnikiem.

Karnawał [1935 roku] był huczny, urozmaicony, trochę bawiliśmy się, a poza tym życie szło swoim normalnym szarym trybem. Aż przyszedł 12 maja 1935. Tego dnia rano obudzono mnie, by powiedzieć, że umarł Marszałek Piłsudski. Ścisnęło mnie coś za gardło, łzy same napływały do oczu, musiałem całą siłą woli powstrzymać się od głośnego płaczu.. Przez cały dzień nie odchodziłem od radia, w szpitalu jak automat załatwiałem tylko najpilniejsze sprawy i najciężej chorych.[...] W końcu nie wytrzymałem i 15 maja pojechałem do Warszawy. Wieczorem byłem na Krakowskim Przedmieściu, gdy przechodził kondukt żałobny z Belwederu do katedry. Na drugi dzień przez kilka godzin stałem na deszczu w kolejce, chcąc się dostać do katedry, gdzie były wystawione zwłoki Marszałka, lecz bezskutecznie, bo wciąż wpuszczano tam różne delegacje i osoby uprzywilejowane, a szary tłum, w którym i ja się znajdowałem, uszeregowany w paru kilometrowym ogonku, przez długie godziny stał spokojnie i karnie, posuwając się bardzo powoli ku katedrze.[...] Przemoczony od deszczu, zmęczony, a przede wszystkim pełen żalu i smutku stałem tak długo, aż nam obwieszczono, że katedra została zamknięta.

[...]

Sprowadziłem się do Szczepieszyna w okresie, kiedy po wielu latach niewoli rosyjskiej i kilkuletniej okupacji austriackiej budził się ruch społeczny, wzrastała świadomość narodowa, coraz sprawniej organizowało się szkolnictwo, sądownictwo, samorząd. Znalazło to swój wyraz w powstawaniu wciąż nowych stowarzyszeń i organizacji. Wyrastały jak grzyby po deszczu i z czasem nawet nadmiernie się rozpleniły. W ciągu dwudziestu lat istniały tu dłużej lub krócej następujące zrzeszenia, które wyliczam z pamięci: Straż Ogniowa, „Sokół”, Chrześcijańskie Towarzystwo Miłosierdzia św Wincentego a

Paulo, Katolickie Stowarzyszenie Polek, Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej, Związek Demokratyczny Młodej Polski, Legion Młodych, Związek Demokratycznej Młodej Wsi, Koło Stronnictwa Narodowego, Organizacja Przystosowania Wojskowego Kobiet do Obrony Kraju, Polski Czerwony Krzyż, Towarzystwo Opieki Nad Zwierzętami, Koło Przyjaciół Harcerzy, Związek Strzelecki, Towarzystwo Przyjaciół Strzelca, Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet, Związek Oficerów Rezerwy, Związek Peowiaków, Związek Legionistów, Związek Nauczycieli Szkół Powszechnych, Towarzystwo Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych, Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej, Liga Morska i Kolonialna, BBWR, a potem Ozon, Towarzystwo Przyjaciół Polaków za Granicą, itd.[...]Stanowczo za dużo tego było jak na małe miasteczko.

Szeroki ogół społeczeństwa stał poza organizacjami, należał do nich tylko niewielki odłam uświadomionych obywateli i wszyscy pracownicy umysłowi. W ostatnich latach dało się zauważyć wyraźne zniechęcenie i obawę przed nowymi organizacjami, zwłaszcza wśród źle uposażonych urzędników. Składki miesięczne w sumie pochłaniały kilka lub nawet kilkanaście złotych z ich mizernych poborów, a nie należenie do niektórych towarzystw mających na celu dobro państwa, LOPP, Liga Morska czy koło PCK, było bardzo źle widziane przez władze i uchylający się od tego obowiązku społecznego byli notowani jako ludzie nielojalni.

Ponadto wszyscy urzędnicy i nauczyciele należeli do swoich organizacji zawodowych, różnych kas samopomocy, kas pogrzebowych. Często odbywały się zbiórki na jakieś cele doraźne na pogorzalców, powodzian, repatriantów, na choinkę dla biednych dzieci, świecone dla najbiedniejszych, na nową posadzkę w kościele, różne sztandary, nagrody sportowe. Dalej! rozmaite dni: Przeciwgruźlicze, PCK, Spółdzielczości, Dary Narodowe, loterie dobroczynne, na które trzeba było dawać albo gotówkę, albo fanty. Tak bez końca. Ja należałem do dwudziestu kilku organizacji i na składki wydawałem kilkadziesiąt złotych miesięcznie.[...] Z biegiem czasu wycofałem się całkowicie z czynnej pracy w organizacjach, bo szkoda mi było czasu. Byłem prezesem jednego tylko Koła Miłośników Książki w Zamościu.

Oprócz towarzystw stałych trzeba było ciągle organizować jakieś komitety czasowe: Obchodów 3 Maja, Święto Morza, 11 Listopada, X--lecie Niepodległości, XX--lecie Niepodległości, Święto Spółdzielczości, Obchodu imienin Marszałka Piłsudskiego, Dni Śląska, Tygodnia Polskiego Czerwonego Krzyża itd.[...]Poza tymi stowarzyszeniami życie społeczne było dość nikle. Rozrywek nie było prawie żadnych. Największą stanowiło kino założone przez Krzeszowskich i zmontowane w dużej sali w specjalnie postawionym budynku murowanym na podwórzu ich domu. Cieszyło się ono ogromnym powodzeniem, czynne było dwa razy w tygodniu, w piątki i soboty, po dwa seanse co wieczór. Publiczności nigdy nie brakowało, przy bardziej znanych filmach tłumy całe zbierały się przy kasie. Publiczność „lepsza” gromadziła się na balkonie. Dużo było takich amatorów, którzy nie opuszczali żadnego filmu.

Rozmaite kursy wieczorowe, odczyty, wykłady publiczne organizowane przez miejscowe nauczycielstwo cieszyły się nawet powodzeniem, ale prawie 75 % słuchaczy stanowili Żydzi. Trzeba przyznać, że zainteresowanie umysłowe wśród Żydów było bez porównania większe niż wśród Polaków. Znałem sporo choćby rzemieślników żydowskich: szewców, krawców którzy zadziwiali mnie swoją inteligencją, bystrością umysłu i sumą wiadomości zdobytych najrozmaitszymi drogami. Jeszcze w 1927 roku poczta miejscowa dostarczała

czasopisma, nie licząc nauczycieli seminarium i mnie, zaledwie 20 osobom, kiedy w tym czasie prenumeratorów pism żydowskich było przeszło 50.

Z rzadka zatrzymywały się w Szczebrzeszynie teatry objazdowe i to częściej ukraińskie niż polskie. Parę razy do roku rozkładał namiot cyrk wędrowny, ku radości i uciechu najmłodszych. Urozmaiceniem dla ludności bywały kilka razy w roku odpusty. Wędrowne kramy pełne były nęcących drobiazgów, czasem ustawiano na rynku karuzelę. Z całej okolicy zjeżdżali się księża, dla których miejscowy dziekan przygotowywał wspaniałe przyjęcie na plebani. Kilkanaście razy w roku odbywały się zabawy publiczne na cele dobroczynne i organizacyjne, na niektórych bawiła się miejscowa inteligencja. Inne bywały całkiem demokratyczne czuło się czasem od misternie uczesanych włosów tancerki powiew subtelnego zapachu nafty lub sabadilli (środek przeciwko wszawicy),widziało się oryginalne zestawienie części garderoby i słyszało takie wyrażenia, jak „zdejmać”, „dla pro formy”, „po post faktum”.

Często przedstawiciele zawodów umysłowych upijali się więcej od innych, urządzali awantury i zachowywali się nieodpowiednio. Pijaństwo jak wszędzie na prowincji, było bardzo rozpowszechnione pod różnymi postaciami w restauracjach, potajemnych szynkach, domach prywatnych, w towarzystwie lub bez [...]. Sporo było notorycznych pijaków. Dni świąteczne i targowe nigdy nie przeszły bez awantur i bardzo często pod wieczór musieliśmy w szpitalu opatrywać pobitych i okaleczonych. [...]

Życie umysłowe pozostawało w zaniku. [...] Książki czytano z nudów, dla zabicia czasu, mało krytycznie. Inteligencja na prowincji pochłonięta jest swoimi sprawami zawodowymi, materialnymi, domowymi oraz beztreściowym życiem towarzyskim. Lata całe spędzone w takich warunkach wyjaławiają nawet nieprzeciętne umysły. A cóż dopiero mówić o ogóle takiego miasteczka jak Szczebrzeszyn.

[...]

W połowie czerwca [1936], na dwa tygodnie przed zakończeniem roku szkolnego, otrzymaliśmy wiadomość, że Ministerstwo Oświaty otwiera w Szczebrzeszynie Państwowe Gimnazjum Koedukacyjne, na razie dwa oddziały pierwszej klasy, jako filię gimnazjum zamojskiego.[...] Niemałe zgorszenie w sferach klerykalno--konserwatywnych wywołała wiadomość, iż gimnazjum ma być koedukacyjne, Starano się nawet przeciwdziałać temu jakąś akcją zbiorową, lecz bezskutecznie, i Kuratorium, i Ministerstwo Oświaty miało już pod tym względem ustalone zdanie.„Szanujący się” rodzice ze Zwierzyńca oświadczyli, że w każdym razie córek swoich do tego gimnazjum posyłać nie będą.

[...]

Warto zanotować pewien widoczny postęp w gospodarce miejskiej Szczebrzeszyna w ciągu tego roku. Burmistrz Franczak, pomimo wszystkich swych braków, dbał jednak o miasto i usilnie starał się podnieść go z dotychczasowego upadku i pchnąć na drogę istotnego rozwoju. Zajął się przed wszystkim porządkowaniem rynku i z wielkim trudem, przełamując gwałtowny opór żydów, właścicieli domów, wybudował schody betonowe wzdłuż wszystkich domów po jednej stronie rynku przy szosie z Zamościa do Biłgoraja. Następnie postarał się o zadrzewienie całej ulicy Zamojskiej i urządzenie skwerów. [...]

Otrzymaliśmy z Zamościa dobry, silny prąd zmienny, mieliśmy go całą dobę [...]Ulice zostały oświetlone należycie, mogliśmy już korzystać z nowych

aparatów radiowych włączonych do sieci i nie mieliśmy już więcej nieustannych kłopotów z bateriami i nabijaniem akumulatorów. Natychmiast kupiłem sobie wspaniałą siedmiolampową superheterodynę i zachwycaliśmy się audycjami, mając możliwość łapania najrozmaitszych stacji z całego świata, tak w dzień, jak i w nocy.

W roku 1937 zjawił się [w Zamościu] nowy starosta Marian Sochański. [...]Przywiązywał ogromną wagę do uzdolnień i ogólnego wykształcenia swoich współpracowników. Przy pierwszym zaznajamianiu się wypytywał każdego urzędnika nie tylko o rodzaj wykonywanej pracy i lata służby, lecz i o posiadany cenzus naukowy. Zaledwie paru [...] mogło wykazać się ukończeniem studiów wyższych. Nie małe zdziwienie wywołało również to, że nowy starosta nie chciał korzystać z żadnych nieusprawiedliwionych świadczeń ze strony Sejmiku, tak dalece, iż nawet za benzynę zwracał pieniądze, jeżeli jechał gdzieś samochodem sejmikowym w charakterze prywatnym.[...] Nie uznawał też i nie przyjmował żadnych prezentów. Na jesieni Koch z gospodarstwa w Sitnie przysłał staroście do jego prywatnego mieszkania, przyjętym od dawna zwyczajem, owoce z sadu przy żeńskiej szkole rolniczej. Sochański wezwał go siebie, wytłumaczył, że podobne prezenty uważa za niedopuszczalne i zapłacił za owoce gotówką po cenach rynkowych. Koch był zdumiony, bo do tego czasu starostowie nie tylko owoce przyjmowali, lecz niektórzy żądali ich dostarczenia. Powaga urzędu wzrosła przy Sochańskim niepomierne, zwłaszcza że przydawał on bardzo duże znaczenie reprezentacyjnej stronie swojego urzędowania. [...]. W czasie uroczystości publicznych odpowiedni stój z długim łańcuszkiem licznych orderów i odznaczeń w miniaturach, a na ulicy cylinder, jedyny w Zamościu, przydawały mu reprezentacyjnego wyglądu. Ach, ten cylinder--przecież to była sensacja.[...]

Już w pierwszych miesiącach swego urzędowania postanowił odnowić na zewnątrz niemal wszystkie kamienice w zamojskim rynku i pomalować je na wzór starego rynku w Warszawie.[...] Największe trudności miał z właścicielami kamienic, prawie samymi Żydami, bo tylko cztery czy pięć domów w rynku pozostawało w rękach polskich.

Najgorętsze protesty wywołała sprawa balkonów, które Sochański kazał z całą bezwzględnością usunąć z odnawianych domów.[...] Na początku dochodziło do ostrych scysji z właścicielami.[...] Sochański był nieustępliwy i konsekwentny w przeprowadzaniu swoich planów.[...] W razie koniecznej potrzeby nie powstrzymywał się przed stosowaniem represji i kar administracyjnych, takich jak grzywny, a nawet areszt. [...]

A na rynku zamojskim działały się cuda. Sporo domów już odnowiono, przy reszcie stały rusztowania. Każda kamienica pomalowana na inny kolor, z doskonale zachowanymi, koronkowymi nieraz ozdobami architektonicznymi--dopiero teraz pokazała, ile kryła niedostrzegalnego dotąd piękna. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki znikły z rynku wszystkie kramy, jakieś szpetne przybudówki pomiędzy skarpami i łukami podcieni, balkony, okropne szyldy... I w naszych oczach zmieniał swój wygląd ratusz zamojski. Opierając się na starych planach, po długich studiach, usuwano najpierw to, co w latach niewoli nakładały nań ręce barbarzyńców i dopiero potem rekonstruowano, przywracając ratuszowi dawne jego stylowe piękno.[...]

Fama o Zamościu i rekonstrukcji rynku zaczęła się rozchodzić po Lubelszczyźnie, a po tem i stopniowo po całej Polsce. Kapitalnie ożywił się ruch turystyczny. Wszystkie samochody jadące szlakiem Warszawa- Lwów

zatrzymywały się na rynku [...]. Amatorzy fotografii bez końca ustawiali swe aparaty, a nierzadko wysiadał ktoś z samochodu, dostawał szkicownik i rysował.[...]

Zamość stawał się modny i wysuwał się w województwie na pierwsze miejsce po Lublinie pozostawiając w tyle znacznie większe Chełm lub Siedlce.[...] Odnowiony barwny rynek ze wspaniałym ratuszem, oświetlony w godzinach wieczornych specjalnymi ukrytymi reflektorami, przyciągał ludzi. Wzmoczony ruch przyjezdnych zaczął bardzo dodatnie wpływać na rozwój gospodarczy miasta. Coraz przyjemniejszy i piękniejszy stawał się Zamość.

[...]

Na dobre rozpoczęła się w Zamościu propaganda antyżydowska. Głównym i najczynniejszym jej rzecznikiem stał się dowódca dywizji generał Olbrycht, już z tytułu swego stanowiska mający ogromny wpływ i możliwości. Do akcji tej wciągnięto całe wojsko i znaczną część społeczeństwa cywilnego. Wojskowym rozkazem ogłoszono surowy bojkot żydowskich sklepów.

Przez pewien czas zwłaszcza w okresach przedświątecznych, na rynku i po ulicach śródmieścia krążyły liczne pikiety, które nie dopuszczały kupujących do sklepów żydowskich. Żywy udział w tym brali starsi uczniowie miejscowego gimnazjum i akademicy przebywający w Zamościu. Władze administracyjne i policja udawały, że tego nie widzą i nie przeciwdziałały jawnemu bezprawiu, gdy zachodziły różne incydenty. Nie stosujący się do haseł bojkotowych byli narażeni na różne nieprzyjemności ze strony zapalanej młodzieży. Miało to ten skutek, że przez pewien czas nawet ci, którzy zasadniczo nie byli zwolennikami bojkotu, nie zachodzili do żydowskich sklepów, żeby uniknąć szykan.[...]

Pikietowanie nie mogło trwać wiecznie i w końcu samo przez się ustawało. Po drugie, nie uniknęło się, nawet przy kupowaniu w polskich sklepach, popierania Żydów, ponieważ wszystkie te sklepy zaopatrywały się w towary w lwiej części u hurtowników Żydów lub brały je nawet od bojkotowanych detalistów i sprzedawały po wyższej cenie.

Większe znaczenie miały: otwarcie dużego polskiego składu z gotowym ubraniem, Bazaru Poznańskiego, składu aptecznego, który stwarzał poważną konkurencję dla aptekarza Epszejna, oraz zakładanie nowych warsztatów krawieckich, szewskich...Ale naprawdę dobrze pomyślaną rzeczą okazało się przejecie w polskie ręce przemysłu czapkarskiego, dotychczas całkowicie opanowanego przez Żydów. [Zapotrzebowanie na czapki było w tamtych czasach olbrzymie. Nikt nie chodził z gołą głową. Cały okrągły rok na ulicy, w polu, ogrodzie, na targu, zakupach, w podróży każdy mężczyzna miał czapkę na głowie. Stąd warsztatów czapniczych było dużo RK.]

Z inicjatywy i staraniem generała Olbrychta został zorganizowany przez Towarzystwo Przyjaciół Harcerstwa najpierw roczny kurs czapkarsstwa. [...] Założono następnie duże warsztaty, dobrze zaopatrzone w maszyny i przyrządy niezbędne do produkcji czapek, i równocześnie otwarto sklep ze sprzedażą detaliczną. Warsztaty i sklep rozwijały się znakomicie, bo popyt na czapki ogromny, choćby ze względu na dużą ilość młodzieży szkolnej.[...]

* * *

Tenże gen. Olbrycht, będąc prezesem Towarzystwa Rozwoju Ziemi Wschodnich, był głównym inspiratorem i motorem innej jeszcze akcji, mającej

poważniejsze i głębsze znaczenie, a mianowicie tępienie prawosławia i zwalczanie wpływów ukraińskich.

[UWAGI MOJE RK: Raczej wykonawcą, bowiem inspiracja i dyrektywy szły od naczelnych władz państwowych zgodnie z polityką mocarstwowości, rozszerzania i utwierdzenia żywiołu polskiego na terenach, gdzie przewagę mieli Ukraińcy. Nie wolno było ich przyjmować do szkół oficerskich, do pracy w policji, urzędach, na kolei począwszy od dyżurnego ruchu wzwyż, na poczcie i w innych instytucjach państwowych—w prokuraturze i sądach. Wszystkie te stanowiska obsadzano sprowadzonymi tu Polakami. A także szkoły, leśnictwa i inne średnie i wyższe stanowiska pracy w folwarkach, których właścicielami byli wyłącznie Polacy.

Wg spisu powszechnego przeprowadzonego przez władze polskie w 1921 roku Polacy **[rzymskokatolicy RK]** na Wołyniu stanowili 11 % ludności.

Sokrates Janowicz polsko-białoruski pisarz z Białostoczczyzny: „Maria Konopnicka mająca czujne ucho, po odwiedzeniu Elizy Orzeszkowej w Grodnie napisała, że nad Niemnem w przyszłości będzie właśnie Białoruś i nic więcej tylko Białoruś. Kresy wschodnie są wszakże wymysłem lekkoduchów, głównie między powstaniowych liryków. Za szlacheckiej Rzeczypospolitej to pojęcie w ogóle nie istniało—było to równe Koronie Wielkie Księstwo Litewskie.

W latach trzydziestych postawiono na tzw. wzmocnienie polskiego stanu posiadania na wschodzie. Masowe burzenie cerkwi, czy zamierzone przesiedlanie w głąb kraju elementu nie polskiego ogromnie jątrzyło społeczeństwo. Zwolennicy posiadania przez Polskę kolonii zamorskich wystąpili z pretensjami wobec ministra Becka, na które odpowiedział on następująco: „Moi panowie, przecież mamy kolonie: na wschód od Rembertowa”. W latach trzydziestych nakazywano duchownym prawosławnym posługiwanie się w cerkwiach językiem polskim. Nauczycieli szkół podstawowych natomiast zobowiązano go stosowania kar cielesnych względem uczniów posługujących się językiem białoruskim. Przejęto bez skrupułów arsenał restrykcji carskich rusyfikatorów. Polski podwórkowy imperializm skrzętnie wykorzystywali Sowieci (wśród Białorusinów i Ukraińców przeciw Polsce)”.
Ziemię z parcelowanych w ramach reformy rolnej majątkach sprzedawano tylko tzw. „osadnikom” przyjeżdżającym z Polski--w ten sposób utworzono kilkaset wsi osadniczych. Pozbawiało to chleba i pracy pracującym tam od wieków Ukraińców, i wywoływało ich nienawiść do przyjezdnych Polaków. „Stosunki między Polakami a Ukraińcami przypominały najczęściej stosunki między panem a niewolnikiem” pisze Daniel Beauvois wybitny historyk francuski.

Wspomnienia Stanisława Panasiewicza pracownika starostwa w Sokalu:

„Miałem przydział pracy w referacie rolnictwa i reform rolnych. Referat ten podlegał branżowo Urzędowi Wojewódzkiemu we Lwowie, a administracyjnie Starości Powiatowemu. Zadaniem i zakresem czynności tego referatu było wprowadzenie reformy rolnej, której istotą było ustalenie zapasu ziemi na cele parcelacyjne. W myśl przepisów każdy właściciel majątku ziemskiego miał prawo do samowolnego władania ziemią w ilości 180 ha. Reszta stanowiła zapas na cele parcelacyjne.

Kierownikiem referatu rolnictwa i reform rolnych był młody inż. po studiach w Wyższej Szkole Rolniczej w Dublanach k. Lwowa. Po upływie 6-cio miesięcznej praktyki płatnej złożyłem egzamin w Urzędzie Wojewódzkim i

awansowałem na stanowisko sekretarza w tym referacie. Terenem działania były dwa powiaty: Sokalski i Żółkiewski. W okresie praktyki czynności służbowe wykonywaliśmy we dwójkę, po egzaminie pojedynczo.

Po wytypowaniu i ustaleniu indywidualnej własności 180 ha. dany majątek mógł być oddany do parcelacji. Na podstawie map i szkiców Urząd Wojewódzki decydował o wszczęciu terenu parcelacji. W porozumieniu z Urzędem Wojewódzkim w Krakowie przybywali do nas nowonabywcy z ziemi kieleckiej, krakowskiej, nowosądeckiej, częstochowskiej. Nabywca mógł otrzymać działkę rolniczą w ilości 7 ha (najmniej), aż do 30 ha (najwięcej). Płacili 10% wartości ziemi, na resztę otrzymywali kredyt banku Rolnego na 50 lat z niskim oprocentowaniem.

Poza tymi udogodnieniami Wydział Powiatowy w Sokalu świadczył im pomoc w postaci instruktora w nowoczesnym użytkowaniu ziemi. Przyjeżdżali więc na miejsce instruktorzy od nawożenia gleby, ogrodnictwa, sadownictwa, pszczelarstwa itp. Ziemia zaliczana była do klas od I-iej do III-ciej, bardzo dobra, żyzna, pszenno—buraczana. Bardzo ją nowonabywcy chwalili. Pomocy gospodarskiej i budowlanej dostarczały okoliczne dwory, folwarki, a także wójtowie, sołtysi, księża i nauczycielstwo. Nowonabywcy wszak stanowili wzmocnienie elementu polskiego w tych stronach.”

Maria Dąbrowska—Dzienniki 28.III.1938 Poniedziałek:

„Na Wołyniu ma być zastosowana do Ukraińców polityka pruska, policyjno-eksterminacyjna, taka jak była w poznańskim za czasów niewoli. Bóg ciężko Polskę za to ukarze.”

Objaśnienie wydawcy dzienników do powyższego zdania Marii Dąbrowskiej: Polityka wojewody H. Józewskiego respektująca prawa narodowe Ukraińców, od dawna krytykowana przez prawicę, spotkała się obecnie z przeciwdziałaniem i szykanowaniem ze strony wojska, odgrywającego coraz bardziej samodzielna rolę polityczną. Po śmierci J. Piłsudskiego politykę narodowościową, również na terenie Wołynia, podejmowali nie tylko dowódcy korpusów czy dywizji, ale i komendanci miejscowych garnizonów, sprawując ją środkami przemocy i zastraszenia. Również władzę administracyjną i polityczną w starostwach obejmowali wojskowi, przenoszenia w tym celu do cywila.

Okres pamiętnika dr Klukowskiego to lata 1920—1939--nie obejmował jeszcze skutków tej polityki, która była jedną z głównych przyczyn rzezi Polaków ze wsi osiedleńczych na Wołyniu, i akcji odwetowej za nią dokonanej na Ukraińcach przez Polaków.]

* * *

Dalej Klukowski pisze: Pewne dyrektywy szły z góry i starosta miał odpowiednie poufne instrukcje, co dawało możliwość nadania szerokiego rozmachu propagandzie i całej robocie antyprawosławnej i antyukraińskiej, opierającej się w dużej mierze na gwałtach i bezprawiu. Piszę o tym z równą przykrością, z jaką patrzyłem na to, co się działo.

Zaczęto od szykanowania w najrozmaitszy sposób. Od wszystkich urzędów i instytucji samorządowych zażądano spisu prawosławnych i Ukraińców i stopniowo usuwano ich z posad, niezależnie od ich kwalifikacji.[...] Tak samo postępowano z nauczycielami, przenosząc ich do

województwa warszawskiego lub poznańskiego.[...] Niektórzy prawosławni urzędnicy zaczęli przechodzić na katolicyzm, żeby tylko utrzymać się na posadzie. W powiecie biłgorajskim władze gminne i rejenci mieli wyraźne polecenie, by nie dopuszczać do nabywania nieruchomości przez nie-Polaków. W kilku miejscach odpowiednio nastawiona ludność rozebrała, rzekomo samorzutnie, drewniane cerkwie prawosławne. Ogółem zburzono ponad 360 cerkwi.

Wszędzie namawiano prawosławnych chłopów do przyjęcia katolicyzmu, a czyniono to z wyraźnym naciskiem. [Namawiano czy zmuszano? W przeważającej większości byli to nie prawosławni a unicy, którzy tak strasznie ucierpieli od władz carskich za opór przeciwko przechodzeniu na prawosławie]

W Horyszowie pod Zamościem jednego dnia przeszło na katolicyzm około tysiąca osób. Jako reprezentant Towarzystwa Rozwoju Ziemi Wschodnich, asystował przy obrzędzie chrztu Inspektor {[szkolny] Szczepaniec, który sam mi to opowiadał.[...] Akcja szykanowania Ukraińców i tępienia prawosławia, najwyraźniej inspirowana z góry, zataczała coraz szersze kręgi i dotknęła również Szczepieszyna, lecz w wyjątkowo bezsensownej formie.



Pewnego dnia rano dano mi znać, że jacyś ludzie rozbierają dach na byłej cerkwi. [Z inicjatywy księdza dziekana--blacha z cerkwi miała być przeznaczona na kościół katolicki.]

Wyrzałam przez okno [...] i rzeczywiście zobaczyłem kilku robotników zdejmujących blachę z dachu. Ponieważ nic absolutnie nie wiedziałem o planach i postanowieniu burzenia byłego kościoła grecko--katolickiego, pochodzącego z XVI wieku, natychmiast zatelefonowałem do starosty Sochańskiego i zapytałem, czy on o tym wie i czy dzieje się to za jego aprobatą. Na to otrzymałem krótka odpowiedź: „ *Nic o tym nie wiem, ale czy to pana*

doktora tak martwi?”. Od razu zrozumiałem, że Sochański nic przeciwko temu nie ma.[...]

Zatelefonowałem zaraz do mecenasa Rosińskiego, który był prezesem Towarzystwa Krajoznawczego w Zamościu. On zawiadomił Towarzystwo Opieki nad Zabytkami i urzędy konserwatorskie w Lublinie i Warszawie.[...] Pomimo takiej doraźnej interwencji, nikt z władz miejscowych rozbiórki cerkwi nie wstrzymał. Jednak po kilku dniach zjawił się konserwator lubelski dr Dutkiewicz i [...] zarządził wstrzymanie dalszych robót do wydania decyzji władz wyższych.[...]

Już nie pierwszą cerkiew rozbierano gwałtem, tylko że małe drewniane cerkiewki zaagitowana ludność burzyła w bardzo szybkim tempie, rozbiórka zaś dużego, solidnie postawionego gmachu nastęcała duże trudności i wymagała dłuższego czasu. [Zerwaną blachę położono z powrotem na dach cerkwi prawdopodobnie na koszt księdza dziekana]

Gdy rozbiórka byłej cerkwi została wstrzymana, powstało przeciwko mnie okropne oburzenie ze strony inicjatorów tego dzieła i ich licznych zwolenników z obozu klerykalno- narodowego. Lecz starzy mieszczanie przychodzili mi dziękować, bo jednak czuli pewien sentyment do świątyni, do której niegdyś uczęszczali ich ojcowie unicy. Ludzie mało krytyczni i o ciasnym umyśle zrobili ze mnie obrońcę prawosławia, od czego byłem bardzo daleki. Nie chcieli zrozumieć, [...]że chodzi mi o zachowanie XVI- wiecznego zabytku naszej architektury--niezależnie jakie było jego przeznaczenie.[...]

Działalność generała Olbrychta na polu walki z Żydami i Ukraińcami oraz jego czynny protektorat nad harcerstwem--ogromnie wpłynęły na spopularyzowanie jego osoby na całej Zamojszczyźnie. [...] Gdy generał Olbrycht, otrzymawszy nominację na dowódcę Centrum Wyszkozenia w Rembertowie, opuszczał Zamość, społeczeństwo zamojskie żegnało go jak żadnego z dotychczasowych dowódców dywizji. Miasto nadało mu honorowe obywatelstwo, a kupiectwo polskie honorowe członkostwo swego związku. Przy uchwalaniu obywatelstwa miał miejsce głośny skandal, ponieważ jeden z żydowskich radnych, Szternfinkel, zaprotestował, uważając iż odżydzanie handlu w Zamościu nie leżało w interesie wszystkich obywateli miasta, które liczyło około 40 procent Żydów. Wywołało to okropne oburzenie. Sprawą zajęła się specjalna komisja, która postawiła wniosek, ażeby Szternfinkela wykluczyć z Rady Miejskiej. Lecz nastąpił jeszcze większy skandal, bo na posiedzeniu rady wniosek nie otrzymał ustawowej liczby głosów. Jak się okazało, nawet nie wszyscy Polacy za nim głosowali.

Z powodu jakiś nieformalności protokołu władze nie zatwierdziły tego posiedzenia i wniosek poddano jeszcze raz głosowaniu na następnym posiedzeniu. Wobec wyjątkowo groźnej postawy niektórych nieprzejednanych radnych antysemitów, Żydzi sami się zreflektowali i w obawie przed ekscesami nie bronili już tak zaciekle Szternfinkela. Tylko trzy głosy oddano za nim i tym sposobem Szternfinkel został w końcu usunięty z rady.

[...]

Starosta Sochański rozmiłowany był we wszelkiego rodzaju uroczystościach, obchodach, uważając, że wpływa to w silnym stopniu na utrwalenie [...] świadomości narodowej i poczucia państwowości polskiej.[...] Przy żadnym ze starostów nie było w Zamościu tylu różnych uroczystości i to zakrojonych na szeroką skalę, przy żadnym nie poświęcono tylu sztandarów,

co przy nim. Co pewien czas przysyłano mi jakiś nowy posrebrzany gwóźdz honorowy z wrytym nazwiskiem, za co trzeba było dobrze zapłacić, by potem ewentualnie wbić go w drzewce sztandaru. [...]

Lecz wszystko to blaskiem swym i świetnością zaćmiły wojskowe uroczystości sztandarowe z udziałem marszałka Rydza-Śmigłego. Z inicjatywy starosty Sochańskiego i władz wojskowych, postanowiono zorganizować w Zamościu na polach lądowiska rewię wojskową głównie artylerii [...]. Miały być na niej poświęcone sztandary ufundowane przez społeczeństwo różnych miejscowości dla dziewięciu pułków artylerii. Defiladę miał odbierać sam Marszałek.[...]

Wszystko zaplanowano na bardzo szeroką skalę. Na pewien czas życie Zamościa zostało przestawione na rewię.[...] Na gwałt zaczęto naprawiać szosy na odcinkach, którymi miał przejeżdżać Marszałek, malować po drodze płoty i parkany, porządkować na zewnątrz domy. [A więc „malowanie trawy na zielono” na przyjazd władz to wcale nie wynalazek tzw. epoki Gierka]

Tak samo w Zamościu. Ale tu trzeba było odnowić przede wszystkim wnętrze ratusza, salę posiedzeń, gdzie miał być wręczony Marszałkowi dyplom obywatelstwa honorowego miasta Zamościa.

Roboty te były projektowane dopiero w następnym roku budżetowym i nie było na nie żadnych kredytów. Rzucił się skłopotany burmistrz [Zamościa] Wazowski na wszystkie strony, aż wreszcie zaciągnął pożyczkę 10.000 złotych od Rosińskiego, z pieniędzy złożonych przez niego w Krajowej Kasie Oszczędności, a przeznaczonych na budowę Domu Kultury. I za te pieniądze w szybkim tempie pięknie odnowiono wejście, schody i główna salę w ratuszu.

W całym powiecie po wszystkich gminach energicznie zbierano składki na zakupienie sześciu ciężkich karabinów maszynowych i jednego samolotu, które miały być ofiarowane wojsku.[...]

Służby bezpieczeństwa też miały nie mało roboty. Zjechało do Zamościa bardzo dużo tajnej policji, żandarmeria polowa również nie próżnowała. W aresztach zatrzymano wielu ludzi nie pewnych.[...] Na lotnisku ustawiono różne trybuny- dla Marszałka, dla uprzywilejowanej publiczności, ołtarz polowy; odgrodzono miejsce przeznaczone dla ludności całego powiatu. Wszędzie, na wszystkich ulicach i szosach, którymi miał przejeżdżać Marszałek, a zwłaszcza na lotnisku ustawiono niezliczona mnogość słupów z różnej wielkości flagami o barwach narodowych.

Na te flagi z pewnością zużyto całe tysiące metrów płótna białego i czerwonego. Z kosztami nie liczono się zupełnie.[...] Mówiono mi, że wydatki, łącznie z naprawą dróg, wyniosły dobre sto kilkadziesiąt tysięcy złotych.[...]

Zawczasu zaczęły nadciągać do Zamościa przeznaczone do defilady oddziały pułków artylerii, które miały otrzymać sztandary, oraz poczty sztandarowe. Ze wszystkich stron przybywały liczne delegacje, rodzice chrzestni sztandarów, różni dygnitarze cywilni i wojskowi wyższych szarż.

Nadszedł wreszcie 17 lipca [1938]. Wczesnym rankiem wyjechaliśmy samochodem do Zamościa na lotnisko. Już z daleka widać było na wysokich słupach trzepoczące flagi. Na szosach i wszystkich drogach w pobliżu lotniska mnóstwo żandarmerii kierującej ruchem. Zostawiłem limuzynę na postoju samochodów i poszliśmy ku trybunom. Całą ogromną przestrzeń lotniska wypełniały tłumy publiczności, organizacje i oczywiście wojsko. Liczono potem, że zebrało się dobrych kilkadziesiąt tysięcy ludzi.

Ulokowaliśmy się w pierwszym rzędzie trybuny dla wybranej publiczności. Na lewo od niej stała wspaniale udekorowana trybuna, skąd Marszałek miał przyjmować defiladę. [...] Po drugiej stronie szosy przed nami, za drewnianymi barierami, stała publiczność i organizacje cywilne, a na wydzielonym wolnym placu znajdowały się: ołtarz polowy, sztandary, które miały być poświęcone i wręczone, samolot i cekaemy przeznaczone na dar dla wojska.

Trzeba przyznać, że panował wyjątkowy ład i porządek[...]. Duża w tym zasługa organizatorów, głównie starosty, ponieważ i plan rozmieszczenia wszystkich, i kierunek ruchu były opracowane rzeczywiście w najdrobniejszych szczegółach, a licznie zgromadzona policja, przy pomocy strażaków w hełmach, [...] ściśle przestrzegała przewidzianego porządku.[...]

Długie i męczące było oczekiwanie na rozpoczęcie uroczystości, zwłaszcza że dzień był upalny. Z ciekawością przyglądaliśmy się przez ten czas nadjeżdżającym samochodom i wysiadającym z nich dygnitarzom, a było tego dużo. Samych generałów przyjechało dwunastu, wojewodów trzech, biskup polowy Gawlina, biskup lubelski Fulman.[...]

Wreszcie od strony szosy szczebrzeskiej ukazało się otwarte auto Marszałka. Oczy wszystkich wlepione były w niego.[...] W otoczeniu świty Marszałek udał się w stronę ołtarza polowego. Długo trwało potem nabożeństwo, poświęcenie sztandarów i samolotu, wręczenie, przemowy, obchodzenie przed frontem oddziałów wojskowych. A mu przez ten czas nudziliśmy się na naszej trybunie, bo tylko z daleka patrzyliśmy na to co się działo naprzeciwko nas.

Gdy skończyła się pierwsza część uroczystości, marszałek przepasany błękitną wstęgą orderu Orła Białego, podszedł do swojej trybuny i za chwilę zaczęła się defilada. Pierwsza przeszła kompania honorowa, potem ruszyły różne oddziały wojska, przeważnie jednak artyleria. [...]

Wojsko prezentowało się świetnie, postawa żołnierzy znakomita, konie doskonale utrzymane, cały ekwipunek, uprząż, karabiny i same armaty aż lśniły w słońcu. I tak przeciągały oddziały jeden za drugim, salutowane przez marszałka, witane przez publiczność. Gdy na czele swego oddziału ukazał się na koniu najpopularniejszy oficer 3 pułku artylerii lekkiej i w ogóle garnizonu zamojskiego, ulubieniec pań- major Mucha, podniosła się burza oklasków.

Gdy już przeszło wojsko ukazały się organizacje. Pierwsza maszerowała mała grupa Związku Legionistów. Prowadził ją również bardzo popularny i lubiany w Zamościu prof. Stefan Miler, mocno zażywny, podtusiały już jegomość, w czapce legionowej na głowie w wyraźnej za ciasnym, starym czarnym ubraniu. [...] Na czele konnych rezerwistów jechał przysły ordynat, młody hr. Jan Zamoyski. Demokratyczny Związek Młodej Wsi prowadził intendent mojego szpitala Cichoński.

Długo, długo ciągnęła się defilada. Ze wzruszeniem i dumą patrzyliśmy na nasze dzielne, piękne wojsko i radowały się serca, zwłaszcza tych, którzy wzrosli w niewoli. [...] Zdawało się, że jest uosobieniem naszej siły i potęgi. Miało się też wrażenie, że ciągnące bez końca szeregi organizacji i chłopów ze wsi tylko czekają na rozkaz wodza [...] I byliśmy w tej chwili pewni, że żadna siła nas nie zmoże. [...]

Po odświeżeniu się u Rosińskiego, poszedłem do ratusza, gdzie odnowionej sali posiedzeń Rady Miejskiej miało odbyć się wręczenie marszałkowi dyplomu obywatelstwa honorowego miasta Zamościa. Na

podwyższeniu, na który zwykle stał stół prezydialny, ustawiono teraz fotel dla marszałka. Z boku usadowiono odświętnie ubranych radnych. Sala szybko zaczęła się wypełniać. Przede wszystkim zwracaliśmy uwagę na przyjezdnych, wśród których było dużo osobistości bardzo popularnych. Dla przedstawicieli społeczeństwa zamojskiego zostało mało miejsca i stosunkowo nieliczni wybrańcy otrzymali zawczasu ściśle kontrolowane karty wstępu.[...]

Wyróżniał się swą uprzejmością i w ogóle całą postawą generał Bortnowski, który nawet rabinowi zamojskiemu podał rękę, na co inni patrzyli ze zdziwieniem. A na czarnym tle cywilów rzucała się w oczy mocna postać wójta gminy Wysokie, Bolesława Wnuka, który w białej chłopskiej sukmanie z kilkoma jaskrawymi orderami i medalami wyglądał wspaniale. Przemawiał on już wcześniej na lotnisku w imieniu ludności wiejskiej. Mówił bardzo dobrze, tak swobodnie i bez żadnej tremy, oferując wodzowi serca i „krzepkie chłopskie dłonie”, że Marszałek specjalnie zainteresował się jego osobą.

Wreszcie w pewnym momencie ucichły wszystkie rozmowy, bo dano znak, że zbliża się Marszałek. Słysząc było tylko z jednego rogu sali głos spikera, który podawał przez radio przebieg uroczystości. Ukazał się w drzwiach Marszałek Rydz- Śmigły z wojewodą de Tramecourtem i z przyboczną świtą. Zasiadł w fotelu, za nim stanął adiutant. Wówczas zabrał głos burmistrz Wazowski. Biedny nasz Michał nie mógł opanować straszliwej tremy. Trzęsącymi się rękami wziął kartkę i z niej odczytał swoje przemówienie. Kończąc, wręczył marszałkowi artystycznie wykonany dyplom obywatelstwa honorowego.

Marszałek wstał, podziękował i zaczął mówić. Znajdowałem się od niego w odległości 4- 5 metrów i mogłem obserwować bardzo dokładnie. Postawy nie miał imponującej. Zupełnie łysa czaszka nadawała mu trochę ptasi wyraz. Od jego postaci nie biła tak naturalna dostojność, jak od Józefa Piłsudskiego [...]. Ale gdy przemówił, byłem zdumiony.

Nie posługując się żadną kartką, z pamięci, zupełnie swobodnie, pięknym stylem zaczął rozsnuwać przed audytorium przeszłość Zamościa podkreślając trzy główne elementy, jakie skłoniły Jana Zamoyskiego do założenia nowego miasta i wyboru tego właśnie miejsca- a więc czynnik gospodarczy, względy strategiczne i chęć stworzenia tu ogniska kultury ducha [...]. Byłem pod dużym wrażeniem. [...] Po tym uroczystym akcie w ratuszu, marszałek udał się do zoo Milera.[...]

Wróciłem do domu zmęczony upalnym dniem i doznanymi wrażeniami. Rewia i wszystkie uroczystości wypadły wspaniale- to trzeba przyznać- ale poszło na nie bardzo dużo pieniędzy. Już wtedy przychodziło mi do głowy, czy nie lepiej byłoby użyć ich na jakiś bardziej praktyczny cel, zwłaszcza gdy brało się pod uwagę, że różne obchody, rewie, święta, wręczanie dyplomów honorowych odbywało się stale po całej Polsce, pochłaniając ogromne sumy.

[...]

W maju (1939) zmarł w Warszawie ordynat Maurycy hrabia Zamoyski. Oczywiście dla Zamojszczyzny było to zdarzenie niecodzienne, a już przewiezienie zwłok do Zamościa i pogrzeb ze złożeniem trumny w kolegiacie były nie lada sensacją. Uroczystości pogrzebowe odbyły się przy tłumnym udziale publiczności, w obecności przedstawicieli rządu, wojska, przyjaciół i członków rodziny. W myśl życzenia zmarłego, nie składano wieńców. Urzędników ordynackich zaprzętała myśl o ingresie młodego ordynata Jana hrabiego Zamoyskiego.

[...]

Całe społeczeństwo oczekiwało rozwoju wypadków i wojny się nie bano. Byliśmy wszyscy pewni, że do wojny jesteśmy doskonale przygotowani, że jesteśmy silni jak nigdy, święcie wierzyliśmy mocno wypowiedzianym słowom Becka, że „od Bałtyku odepchnąć się nie damy” i zapewnieniom Rydza- Śmigłego, że „nie damy nawet guzika od płaszcza”. Naprawdę byliśmy pełni wiary i pewności zwycięstwa.

Gdy wreszcie, pod koniec sierpnia [1939], ogłoszono mobilizację, nastąpiło wyraźne odprężenie. Znikło męczące oczekiwanie i niepewność, ludzie już wiedzieli, że zaczynamy wojnę. Nastrój był znakomity [...]. Ja czułem się szczęśliwy, że rozkaz mobilizacyjny powołał i mój rocznik do czynnej służby wojskowej. Przekazałem szpital dr Warchałowskiej, włożyłem na siebie nowiutki mundur kapitana i 3 września, żegnany kwiatami przez personel szpitalny, pełen entuzjazmu i zapału wyruszyłem do swojej kadry zapasowej w Lublinie po przydział wojenny.